№ 26. Rok XXXIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Na prowincyi
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Chmielna Nr 26.

Warszawa, dnia 15 (27) Czerwca 1891 roku.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

OD REDAKCYI.

Przypominamy odnowienie prenumeraty na kwartał trzeci roku bieżącego. Warunki prenumeraty pozostają te same, a mianowicie:

W Warszawie kwartalnie rs. 1.

Na prowincyi z przesyłką pocztową:

kwartalnie rs. 1 kop. 25.

półrocznie rs. 2 kop. 50.

rocznie rs. 5.

Adres: Emil Skiwski, redaktor i wydawca „Tygodnika mód i powieści" w Warszawie, ulica Chmielna Nr 26.

Upraszamy Szanownych Prenumeratorów o nadsyłanie kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Za zmianę adresu kop. 15.

ROGATA DUSZA.

POWIEŚĆ

Juliana Łętowskiego.

(Dalszy ciąg.)

VIII.

Za tą pierwszą poszła niebawem druga wizyta pana Konrada, wywołana tym razem interesem. Okazało się bowiem, że po nieboszczyku stryju, zarówno w papierach jak i w gotowiźnie, pozostało około 5,600 rubli, z czego okrągłe trzy tysiące, owoc długoletniej widocznie oszczędności starego emeryta, ulokowane były na domu pani Trzcińskiej. Odpowiedni skrypt, podpisany przez nieboszczyka Trzcińskiego i poświadczony regentalnie, nie ulegał najmniejszej wątpliwości.

Według tego skryptu, ś. p. Dąbrowski, obejmując posadę rządzcy domu, wniósł do kasy mecenasa Trzcińskiego sumę tę w gotowiźnie, tytułem kaucyi, zastrzegając sobie od niej prawne procenta, które się miały kapitalizować. Umowa zawarta była przed dziewięciu laty i w niej już znalazła się wzmianka o Konradzie, jako jedynym sukcesorze kontrahenta — na wszelki, jak dodano — wypadek.

Pani Kamilla dowiedziała się o tem pierwsza, ona to bowiem, pod pretekstem, iż niektóre książki meldunkowe znajdowały się w opieczętowanem sądownie mieszkaniu nieboszczyka, a mogły być potrzebne, starała się sama o przyśpieszenie całej procedury i, dzięki stosunkom, przyśpieszenie to istotnie udało się jej uzyskać.

Przypomniała sobie nawet, gdy jej wieść o tem zakomunikowano, iż mąż wspominał nieraz o tej kaucyi, nieboszczyk Dąbrowski zaś tak był widocznie pewien tej swojej sumki, iż po zgonie mecenasa, przez cztery lata, ani słówkiem nie przypomniał o niej wdowie. Wiedział snać, iż to znaleźć się musi i przepaść nie może.

Pan Konrad, odebrawszy odpowiednie zawiadomienie o spadku, wraz z liścikiem pani Trzcińskiej, aby w tej sprawie zechciał się do niej pofatygować, był poprostu oszołomionym.

Nigdy nawet przez myśl mu nie przeszło, aby po stryju czekać go mogła jaka scheda. Zkąd? Staruszek ciągle narzekał na biedę, chodził wiecznie w jednem i tem samem, choć porządnem i czystem ubraniu, odmawiał sobie wielu rzeczy, mówiąc iż emeryturka, jaką pobierał, starczyć mu może zaledwie na chleb i mleko.

— Bodaj że i na pogrzeb swój nic nie uciułam— mówił raz w chwili takich wynurzeń,— musisz mię też kiedyś pochować.

Dla niego, dla Konrada, gdy szwankujące od czasu do czasu ich wzajemne stosunki znalazły się w dobrej fazie, bywał czasem niezwykle hojnym, występując z datkiem nawet wówczas, gdy Konrad wcale się go nie domagał. Ale też, gdy bratanek nie odrazu poń rękę wyciągnął, staruszek chował

skwapliwie wydobyte monety, mówiąc: „No, jeśli możesz się obejść, to tem lepiej.”

Jedyną namiętnością jego były wieczorne partyjki wista, w gronie dawnych kolegów, ludzi statecznych i nieźle uposażonych. Teraz jednak dopiero Konrad zrozumiał, że i to niewiele staruszka kosztować musiało. Wracał bowiem zazwyczaj uśmiechnięty i zadowolony, a gdy pewnego razu przegrał cztery złote, nie tknął nazajutrz śniadania, wyrzucając sobie swoje marnotrawstwo.

Postać starca, sympatyczna mimo wszelkich drobnych śmieszności, wychodziła coraz żywiej we wspomnieniach pana Konrada, podczas gdy siedząc przy biurku w swojem nowem mieszkaniu, rozmyślał nad otrzymaną wiadomością i miął w rękach elegancki list pani Trzcińskiej.

„Dobrzeby było — pisała pani Kamilla, — aby pan choć dziś jeszcze wpadł do nas. Ułożylibyśmy, jak się do tej sprawy zabrać. Jest to w każdym razie sumka nie do pogardzenia i najsłuszniejsza pańska własność, mnie zaś, pojmie pan zapewne dlaczego, cięży to wszystko na sercu, jak kamień.”

Pięć tysięcy rubli!

A właśnie myślał nad tem, jakby tu pokierować interesami, aby z zarobionych przez lato pieniędzy starczyło na wszystko podczas tych pierwszych kroków na nowym chlebie, którego dobijał się z takim trudem i mozołem.

Los przychodził mu w tem z pomocą, a jednak, pomimo wszystkiego, zadrwił sobie z niego. Gdyby ta pomoc, a choćby tylko drobniejsza jej cząstka, przyszła była nieco prędzej — nie przez śmierć stryja, o nie, ale w jakiś inny godziwy sposób — ileżby był zaoszczędził sił swoich, ile wcześniej mógłby był stanąć tam, gdzie dziś stał dopiero!

Wiktor — Józia — także by może inną wskutek tego poszli drogą, nie tak mozolną...

Józia?... Józia w każdym razie ucieszy się bardzo na wiadomość o tem, co go spotkało. Widział ją już, jak klaskała w dłonie z radości, jak czarne jej oczki nowym lśniły blaskiem, jak drobna twarzyczka to bladła, to rumieniła się naprzemian ze wzruszenia.

Uśmiechnął się na samę myśl tego obrazu, rysującego się w jego wyobraźni.

Teraz już mogły się spełnić niepochwytne dotąd marzenia o wyjeździe za granicę dla zobaczenia świata, a przedewszystkiem dalszych studyów na szerszej arenie. Mógł nawet teraz zabrać ze sobą Józię, która, zimując na południu, odzyskałaby niechybnie zdrowie prędzej, niż tutaj, przy ciężkiej swojej pracy. Wiedział że ta pierwsza zima, jak zwykle w początkach takiej choroby, będzie dla niej najtrudniejszą do przeniesienia, a jeśli chodziło o wydatki, to mógł przecie i sam, po uzyskaniu stopnia, zawiesić się gdzie w jakiej stacyi klimatycznej, jako lekarz. Ciągnęła go wprawdzie dotąd zawsze tylko chirurgia i jej chciał się poświęcić, ale to nie ucieknie mu przecie.

Tak! teraz może sobie na to pozwolić. Pięć tysięcy! Wystarczy na rok, co najmniej, a choćby nawet i wszystko przyszło wydać, da sobie potem radę — nie zginie. A ratunek dla Józi jest koniecznym. Pieniądze te spadają, jak z nieba. Niema się nawet nad czem namyślać. Rozprawa jest na ukończeniu — widzi ją przecie — leżą właśnie przed nim te drobno zapisane kartki, a jest ich stos cały. Wciągu miesiąca będzie już miał upragniony stopień — zostanie panem swej woli. Zabierze wówczas Józię i ruszą na południe.

Zabierze Józię, ale w jakim charakterze?

Zasępił się cokolwiek i mimowoli wypuścił z ręki list pani Trzcińskiej. Niebawem jednak rozpogodził znów czoło i nawet uśmiechnął się do swych myśli.

Józia pojedzie jako jego żona — tak być musi!.

Nie mówili dotąd wprawdzie ze sobą, że się kochają. Unikali nawet starannie wszelkiej okazyi do tego wyznania — i to głównie unikał on sam — ostrożny, rozważny, liczący się z każdym swym krokiem, jak zawsze. Ale czyż na to słów trzeba? Ta codzienna ich w dzieciństwie zażyłość, te wspólne później losy z Wiktorem, zbliżające ich ciągle ku sobie, ta wreszcie opieka, jaką nad obojgiem w ostatnich czasach rozciągał, przywłaszczając sobie do niej prawo niemal przemocą, czyż nie mówiły więcej od słów samych?

Ach, tak! kocha ją i kochał już oddawna. Trzeba raz nareszcie zdać sobie z tego sprawę, trzeba to słowo wymówić. Cóżby wiązało ich tak nierozerwalnie, przez lat tyle, gdyby nie to uczucie, tkwiące dotąd skrycie w głębinach jego serca, a zrodzone tak dawno, może już wśród bezmyślnych zabaw dziecięcych, na widok tej siostrzyczki biednego rówieśnika, wiecznie smutnej i załzawionej, a już wówczas, mimo tego smutku i opuszczenia, ślicznej jak aniołek. A może trzymała go przy niej przyjaźń dla Wiktora? Bajki! Wszakże życie nie takie przyjaźni zrywa i rozdziela czasem nawet najwięcej kochające się rodzeństwo, a im dotąd rozejść się nie dało! O Wiktora właśnie dbał tylko przez wzgląd na nią, na Józię, inaczej możeby już dawno drogi ich były się rozeszły.

A ta miłość, choć nieświadoma siebie samej, dodawała mu sił do pracy — musiał to teraz przyznać. Zawdzięczał jej tyle chwil przyjemnych, miłych, niezatartych żadnemi innemi wspomnieniami. Nie obeszło się wprawdzie bez tego, żeby nie widział piękności innych kobiet i żeby one nie zajmowały czasem jego myśli. Raz nawet, przed dwoma laty, wróciwszy z jakiejś zabawy, na którą wciągnęli go koledzy, był przekonany, że stracił głowę ze szczętem dla pewnej milutkiej panienki, tańczył z nią bowiem przez cały wieczór, śmiał się, żartował i bawił, jak nigdy dotąd z nikim.

A jednak myśl o Józi i jej wspomnienie, zjawiające się często wbrew jego woli, wcale przezeń nie wywoływane, wracało go zawsze do równowagi, zaćmiewało wszystkie inne, godziło z losem, jaśniejąc jako jedyna gwiazda świetlana w szarej pomroce żywota, który dotąd był jego udziałem? Z myślą o niej zdawał już przecie ostatnie egzamina, z tą myślą żegnał ją, wyjeżdżając na lato za nowym zarobkiem, jako mentor Schwartza i Marczewskiego, ta myśl wreszcie ścigała go tam, w uroczej Teterówce, przy pięknych i rozmownych siostrach Kazika.

Myśli te nie dały mu i teraz usiedzieć spokojnie przed biurkiem. Powstał, potrącił mimowoli nogą list pani Trzcińskiej i począł szybkim krokiem chodzić wzdłuż pokoiku.

Żona!

Tylko ten jeden wyraz nie przychodził mu dotąd nigdy na myśl, a przynajmniej nie stawał przed nim tak wyraźnie, jak dziś, we właściwem swojem znaczeniu. Żona! Nie pomyślał dotychczas, iż przyjaźń owa z Józią może się tak skończyć. Teraz dopiero myśl ta się zjawiała.

Wydawało mu się to jednak całkiem naturalnem. Miał przecie dotąd ręce związane. Teraz dopiero był wolnym, teraz mógł, przynajmniej na czas jakiś, dyktować prawa swemu losowi, nie zaś słuchać go ślepo i naginać się do jego wskazówek. Ten poczciwy stryj uwalniał go z wszelkich więzów i czynił panem własnej woli, panem absolutnym.

Stanął pośrodku pokoju i, zakładając splecione dłonie na głowę, odetchnął szeroko, swobodnie, pełną piersią.

Postanowił też dziś jeszcze rozstrzygnąć to wszystko. Wiktor zapowiedział wczoraj, że ciężka a pilna robota dla jednego z pism, której się podjął, zatrzyma go w domu przez całe dwa wieczory. Mógł więc iść sam do Józi, zobaczyć się z nią bez świadków i skorzystać z okazyi, aby jej wszystko powiedzieć.

I jakby chciał biedz tam zaraz, zapędził się ku drzwiom i dopiero, mając już rękę na klamce, opamiętał się pod dotknięciem chłodnego metalu.

Każdym innym razem byłby sam wyszydził tę chwilową utratę władzy nad sobą. Dziś ucieszyła go ona, dowodziła bowiem tego, co jeszcze, mimo wszelkich postanowień, mgliste, niejasne, tlało w jego sercu.

Uśmiechnął się znowu.

— Zwolna, zwolna!—szepnął, jakby chciał temi słowy opamiętać się doreszty.

Wzrok jego padł na porzucony na podłodze list. Podniósł go i zasiadając przed biurkiem, począł nanowo przerzucać oczyma.

„Sumka nie do pogardzenia...” „Pięć tysięcy z okładem..” „Z tego trzy ulokowane na naszym domu...”

— A więc to wszystko nie sen!—pomyślał, wpatrując się z pewną przyjemnością w owe wyrazy.

„Ot, wie pan co — pisała dalej pani Kamilla, przybierając mimowoli ten ton poufały, — niech pan przyjdzie do nas dziś, około czwartej. Będę pana czekała...”

Przeczytawszy raz jeszcze te słowa, sięgnął po zegarek. Piąta już dochodziła. Dwie godziny zeszły mu na tych projektach i marzeniach, a zeszły jak jedna chwila.

Nie można było być niegrzecznym. Należało pobiedz natychmiast, a choć oznaczona godzina już minęła, usprawiedliwi się łatwo, a dowiedzie przynajmniej, iż nie lekceważył sobie tego wezwania.

Ubrał się też natychmiast, poskładał porozrzucane kartki swojej rozprawy i w kwadrans później dzwonił już do mieszkania pani Kamilli.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

JUDYTA.

Z Jana Bartheroy.

I.

Pod wysokim namiotem z jedwabiów i złota,
Co blaskiem swym śpiącego obrzucają skronie,
Wyniosły Holofernes w snu objęciach tonie,
A wizya gorączkowa duchem jego miota,
Podnieca wyobraźnię i w śnie samym płoszy,
Przywodząc marę wspomnień nużących rozkoszy.

Spoczywa on na łożu szerokiem i nizkiem,
Tryumfów swych miłosnych obliczając plony;
Tułów jego żylasty, na wpół obnażony,

Pełen jędrnych sił mężkich, bronzu lśni połyskiem,
A muskuły drgające i wydatne łono
Lubują się i dyszą żądzą nasyconą.

Ten, którego z hyrkańskich dziewic żadna jeszcze
Ukołysać swym do snu nie zdołała śpiewem,
Dziś, jakby pod ożywczym miłości powiewem,
Uczuł dotąd nieznane sercu swemu dreszcze,
Dreszcze długie — poczęte w namiętności szale
I które nim razporaz wstrząsają zuchwale.

To też ów Assyryjczyk, niegdyś tak surowy,
Poruszy się i westchnie od chwili do chwili,
I usta jego uśmiech łagodny rozchyli
I przelotnie cień przez nie przemknie purpurowy,
Jakoby lekkie sennych widziadeł odbicie,
Gdy wioną w niebios czystym, przezroczym błękicie.

Oceanów bezdennych szmaragdowe fale
Duch jego pozostawia za sobą daleko —
I gwiazdy pozostawia, co drżącą powieką
Zdają się nam wynurzać troski swe i żale —
I śni, że mu blask czysty stref górnych przyświeca,
Z których zdarła zasłony miękka dłoń kobieca.

Acz nadmiarem porywów płomiennych znużony,
Jeszcze w śnie czuć on mniema tuż nad ciałem swojem
Pocałunki krążące niezliczonym rojem;
Łudzi się, że Judyta białemi ramiony
Otacza szyję jego — i widzi przy sobie
Tę Żydówkę, w jej strojów odświętnych ozdobie.

On ją widzi stojącą obok swego łoża,
Taką, jaka z wysoczyzn przybiegła Libanu:
Włos jej, wolno puszczony, spływa zpod turbanu,
Gardząc więzy wszelkiemi, a jej postać hoża
Dziką swoją pięknością zachwyca i nęci
I obraz swój nadobny wyrzeźbia w pamięci.

Naprożno on zatrzymać pragnie w złud krainie,
To widmo niepochwytne, co niebiańskiem tchnieniem
Owiawszy się—bezbarwnym już się staje cieniem—
Blednie, formy utraca i zprzed oczu ginie —
A gdy w mgłach jego myśli znika mara blada,
Bezwładny Holofernes w sen głębszy zapada.

II.

Lecz tu nie cień znikomy, lecz ona, Judyta,
Tętna serca zwycięzcy śledzi w nocnej ciszy,
A gdy oddech słabnący piersi jego słyszy,
Uchem bacznem szmer każdy niespokojnie chwyta
I przy łożu, o włócznię wsparta ręką prawą,
W oblicze uśpionego spogląda z obawą.

Uwagę jej przykuwa ta postać żołnierza,
W którego twardem sercu twarda miłość płonie
I otacza świątlanym nimbem jego skronie;
Judyta swe źrenice przyćmione rozszerza
I zdaje się, że błogość tych uczuć podziela
I podziwia śpiącego, choć nieprzyjaciela.

Wpatrzona weń posępnie, tak w sobie rozważa:
— Jak on dziwnie jest pięknym, gdy w cieniach wie- [czoru
Kołysany marzeniem, spokojny z pozoru,
Tak usypia, a nad nim, jakby u ołtarza,
Na którym całopalne składają ofiary,
Unosi się palonych wonności dym szary.

— Bóg tak chce!—On rzekł do niej „wybaw Izraela!
„Niech gromy twej prawicy śmierć wrogowi niosą,
„A krew jego wylana żyzną błyśnie rosą."
I—zimnem swem żelazem ona się ośmiela
Piersi jego dotykać—i rzuca pytanie,
Rychło-li, po łup świeży, śmierć zwycięzka stanie?

Nie jest to już ta płocha, uległa niewiasta,
Co się śmiechem zanosi, rozpuście oddana
W sprośnych uściskach swego chwilowego pana;
Dzisiaj—na bohaterkę Judyta urasta,
Gdy mroźną nieczułością uzbroiwszy łono,
Oddychać tylko umie zemstą przysiężoną.

Kształty jej posągowe nęcą wdzięki swemi
I życiem w tej ruchomej statui rozlanem;
Z sercem, mężnych zamysłów śmiałością pijanem,
Wzywa ona demonów rozsianych po ziemi...

Lecz w krew, w którą jej istność wsiąkała tak ściśle,
Dość-li czarnoksiężkiego ona wlała jadu?
A słodkie pocałunki czyż żadnego śladu
Nie pozostawią w jego wzburzonym umyśle —
I czy ona zdołała poświęceniem swojem
Mózg jego otumanić miłosnym napojem?

— Tak! — przyszedł czas działania; i wnet, szybkim [ruchem
Pochwyciwszy śpiącego satrapę za włosy —
Uderza; czyn spełniony — rozstrzygnięte losy!
Życie jego ubiegło wraz ze krwi wybuchem;
Tak poległ Holofernes, krzywd ludzkich niesyty,
Trup jego runął u stóp wylękłej Judyty.

M. H. Truszkowski.

KRONIKA działalności kobiecej.

— W Wiedniu zawiązało się stowarzyszenie kobiet, celem podpisania ogólnej petycyi do parlamentu o nadanie kobietom praw obywatelskich i politycznych, motywując żądania swe tem, iż jeśli kobieta zarówno z mężczyzną pracuje prawie na każdem polu działalności społecznej, winna też mieć jednakie z nim prawo głosowania w kwestyach krajowych, które ją, podobnie jak jego, dotyczą.

Petycya podobno została już przesłana do parlamentu w miesiącu Maju.

— Mahometanka Kutlojaroff Hamnu zaszczycona została w Odessie dyplomem doktora, a zaraz potem posadą w szpitalu rządowym. Panna Kutlojaroff Hamnu z powodzeniem uprawia chirurgią, a posada wymagająca wiele wprawy i siły powierzoną jej została z całem zaufaniem.

— W Wiedniu istnieje pod wyłącznym protektoratem cesarzowej Elżbiety „Civil-Mädchen-Pensionat", zakład naukowy żeński dla sierot po urzędnikach cywilnych, założony jeszcze w roku 1786 przez cesarza Józefa II. Dziewczątka, oprócz nauki, otrzymują często ubranie na zimę i całkowite dzienne pożywienie. Obok elementarnego wykształcenia, uczą się języków obcych, głównie francuzkiego, którym wszystkie, nawet z najmłodszych oddziałów, władają doskonale. Wychowanki rzeczonego zakładu są albo przychodnie, gdy mają matkę lub ojca, albo stałe, gdy są zupełnie sierotami. W takim razie otrzymują w zakładzie całe utrzymanie do 16 roku życia, w którym to wieku wolno im, jeśli są zdolne, oddać się dalszym studyom, w przeciwnym razie zaopatruje je opieka szkolna w odpowiednie zajęcia. Instytucya cieszy się wielkiem uznaniem pań wyższego towarzystwa i dlatego nie szczędzą na nią hojnych składek. Wszakże jedyną jej opiekunką jest sama cesarzowa, która się nią bardzo gorliwie zajmuje.

— Stowarzyszenie nauczycielek w Pradze, zbierające się cotydzień we czwartki i soboty, w ostatnich czasach zgromadziło się w swoim salonie, celem złożenia ogólnej podzięki pani Elizie Krasnohorskiej za czynny jej udział przy utworzeniu gimnazyum żeńskiego w Pradze. Czeszki, dbające niezmiernie o rozwój oświaty w swoim kraju, zwłaszcza o wykształcenie kobiet, cieszą się, że dążności ich potrosze się spełniają. Pani Eliza Krasnohorska, współpracowniczka pisma kobiecego „Ženské Listy," autorka wielu artykułów traktujących wymownie o kwestyi kobiecej, jest uczestniczką Stowarzyszenia pedagogicznego i słowem gorącem nawołuje swe siostry do ogólnej działalności.

Pani Zdenka Braunersowa, także należąca do Stowarzyszenia, przemawiała na kongresie kobiecym w Paryżu, malując barwnie i jaskrawo stanowisko obecne kobiety czeskiej, a jednocześnie ubolewając nad jej mało rozwiniętym duchem samodzielnym. Dowodziła, iż emancypacya kobiet, przenikająca całą Europę, w jej ojczyźnie bardzo jeszcze mało postąpiła, do tego zaś przyczyniają się same kobiety, zbyt słabe do walki i zbyt powolne do czynów.

— Panna Frederikson, Szwedka, zaszczyconą została w Kopenhadze wielkim medalem złotym za głośną, a bardzo udatną rozprawę pedagogiczną, umieszczoną w Lutym roku bieżącego w jednem z pism kobiecych i ocenioną przez uniwersytet miejscowy. Panna Frederikson ukończyła chlubnie studya w Sztokholmie, poczem, udawszy się do Danii, zajęła w stolicy jej wybitne stanowisko w kole pedagogicznem, studyując i nadal ten niewyczerpany przedmiot.

— Panna Ludwika Müller, studyująca od lat kilku filozofią w uniwersytecie zurychskim, obdarzona została pierwszą nagrodą za pracę konkursową, ogłoszoną w poważnym organie miejscowym. Panna Müller jest córką rzemieślnika niemieckiego, zamieszkałego w Szwajcaryi, i liczy obecnie lat 28; kilka pomniejszych prac wyrobiło autorce jeszcze przedtem imię w kole literackiem w Zurychu. Kolonia niemiecka uczciła laureatkę i rodaczkę wieńcami i bukietami. *H. R.*

ZAWIERUCHA.

PRZEZ

Marc-Mounier'a.

Przekład z francuzkiego

M. G.

(Dalszy ciąg.)

Naprzeciwko mieszkania Praksedy stał jakiś dom niedokończony czy też rozpadający się w ruinę, zewnętrzne ściany tylko i schody bez poręczy, docho-

dzące do pierwszego piętra; ze szczytu tych schodów widać było okno Reginki w odległości pięćdziesięciu kroków. Toniel stawał tam o brzasku i śpiewał świeżo ułożoną piosneczkę, okno otwierało się natychmiast i ukazywała się w niem ciemna główka z rozpuszczonemi włosami i gdy śpiew się skończył, Reginka przesyłała pocałunek od ust Tonielowi, a potem rozmawiali długo, pomagając sobie gestami. Toniel mówił jej ile zarobił poprzedniego dnia i co za te pieniądze kupił. Łóżko już było kupione, deski zamówione u cieśli, teraz trzeba pomyśleć o sienniku. Prócz tego potrzebują jeszcze dwóch krzeseł i stolika, resztę nabędzie się z czasem. Obliczywszy wszystko, zdaje się że ślub mógłby się odbyć 8 Września, w dzień odpustu; don Kristoforo był już zawiadomiony i zajmie się wyrobieniem papierów. Potem Reginka kładła palec na ustach: „milczenie!"

W domu zaczynali się budzić, pani Placyda wyskakiwała z łóżka i biegła do szafy, zobaczyć czy pieniądze są na miejscu. Dwa pocałunki przesłane z oddalenia krzyżowały się w powietrzu, okno zamykało się—„żegnaj Reginko!" Toniel schodził ze schodów i upojony radością szedł przez ulice Salerno, wyśpiewując nową piosenkę przy blasku wschodzącego słońca.

Tylko zrobił się trochę chciwy; małżeństwo rozwija w ludziach instynkt zachowawczy. Zamiast, jak dawniej, wyrzucać pieniądze na loteryą lub do rąk Pallona, składał miedziane sztuki, jak pani Placyda, i nawlekał na szpilkę papierki dziesięciosusowe. Targował się o poziomki, a jeżeli przekupka nie chciała nic odstąpić, jadł suchy chleb, choć z niezadowoleniem. Pewnego razu zdarzyło mu się nawet odmówić jałmużny ubogiemu z dodatkiem słowa, którego nie powstydziłby się mieszczuch lub filantrop: „Weź się do pracy!" Prawda, że pożałował natychmiast złego czynu i zawróciwszy, dał mu parę miedziaków. Mimo to czuł, że pierwszy popęd był niedobry. Toniel popsuł się, Toniel robił się chciwy. Jeżeli prefektowa lub Szwajcar fabrykant rzucali mu miedziaki, Toniel się wykrzywiał, Toniel robił się zazdrosny, jedna jeszcze przywara konserwatystów. Trzydzieści lub czterdzieści razy dziennie przechodził przed sklepem, w którym była Reginka, ale nie śmiał wchodzić, bo pani Placyda nie życzyła sobie jego odwiedzin, pomimo że pozwalała miejscowym doucicilli *) przesiadywać w sklepie całemi godzinami.

Wykwintnisie ci nosili na lewej ręce białą rękawiczkę, kołnierz wywinięty aż na ramiona i faworyty w kształcie kotletów; wypalali po dwa cygara, za które płacili trzy su. Paląc, doucicilli mówili Regince komplimenta, które ona przyjmowała, wdzięcząc się, rada że ją uważają za ładną. Ilekroć Toniel przechodził przed sklepem i widział jej „zdrady" (tak to nazywał), wpadał we wściekłość i doznawał szalonej pokusy poduszenia elegantów, wstrzymywało go tylko uszanowanie dla tużurków i obawa ażeby nie popsuć wszystkiego; lękał się rozgniewać Reginkę. Szedł tedy samotny nad morze i płakał tam pod skałą w kształcie arkady. Piosneczka, którą śpiewał nazajutrz o świcie, była żałosna lub gniewna, a śpiewając, przewracał dziko oczy i zaciskał pięści. Reginka uśmiechała się, patrząc na niego, uśmiech był szyderczy lecz spojrzenie takie czułe, że Toniel zapominał, przebaczał wszystko i odchodził szczęśliwy i dumny. Po południu, przechodząc przed sklepem, widział znowu złotych młodzieńców rozsiadających się tam w kapeluszach nasadzonych na głowy, z cygarami w ustach, poruszających z wdziękiem rękoma dla zaprezentowania pierścionków i długich paznogci. Toniel uciekał z rozpaczą w sercu.

Pewnego wieczora, gdy biegł zrozpaczony ku morzu z zamiarem utopienia się, wpadł nagle na grubego księdza, który przytrzymał go za rękę; był to don Kristoforo. Dowiedziałem się później od mis Zawieruchy, że ksiądz pojechał do Salerno jako wysłannik policyi, która w tajemnicy przed władzą wojskową chciała przeprowadzić pewne układy. Don Kristoforo miał się porozumieć z dowódcą rozbójników, który był jego parafianinem, i skłonić go, ażeby porzucił swoje rzemiosło i przeniósł się do państwa Kościelnego, gdzie mógłby żyć z procentu od zebranych kapitałów. Policya ofiarowała mu pasport i pieniężne wynagrodzenie. Układy spełzły na niczem, bo dowódzca zażądał dla siebie i całej bandy świadectwa uczciwości i dobrego prowadzenia się, a prócz tego wymagał ażeby sumę, którą mu dawano, wypłacono w złocie.

— Hej! Tonielu! — zawołał don Kristoforo, — dokąd biegniesz?

— Idę się utopić — odrzekł Toniel.

— Diavolo! Cóż ci zrobiła Reginka?

— Nikczemna! — zawołał biedny chłopiec.

I opowiedział całą historyą księdzu, który uśmiechał się, wspominając własną młodość. Gdy Toniel skończył:

— Nie top się — powiedział ksiądz.—Najpierw to grzech śmiertelny, z którego nie mógłbym cię rozgrzeszyć, powtóre nie udałoby się to, bo pływasz jak węgorz, a pod wodą możesz siedzieć tak długo, jak poławiacze korali. Zostaw samobójstwo Piemontczykom, w ich kraju zimno, niebo tam pochmurne, a kobiety blade; tu, mój chłopcze, przy tylu darach Bożych, przy tem słońcu i z Reginką można żyć wesoło!

Toniel niczego więcej nie żądał, a ksiądz przyrzekł mu na pociechę, że sam pomówi z Reginką. Poszedł istotnie do pani Placydy i wyprowadził dziewczynę do ogrodu. Nie wiem o czem rozmawiali, bo mówili cicho, wiem tylko że w tydzień później, w Zielone Świątki, Toniel i Reginka pojechali na odpust sami tylko, we dwoje. Wyjechali pierwszym pociągiem; w wagonie pełno było ludzi. Dziewczyna bardzo wzruszona, miała głowę spuszczoną i cochwila ocierała zaczerwienione oczy rogiem fartuszka. Gdy wysiedli na stacyi, zkąd dojeżdżało się końmi, poszli ochłodzić się do kościoła. Reginka skierowała się odrazu do bocznej kaplicy, upadła na kolana i oparłszy czoło na stopniach ołtarza, szlochała.

— Nie płacz — powiedział Toniel.

— Powinnam płakać!

— Dlaczego? Czy masz jakie zmartwienie?

— Popełniłam ciężki grzech!

— Jaki grzech? moja ukochana...

— Powiem ci, gdy będziemy wracali...

Toniel zaniepokoił się, uszanował jednakże tajemnicę Reginki. Widząc jej zmartwienie, usiłował ją pocieszyć. Pokazywał jej w jednym z kościołów obraz świętego Modesta. Święty ów niegdyś robił cuda, zaprzestał jednak tego od czasu, gdy ludzie w cuda nie wierzą. Chcąc, ażeby święci czynili cuda, mawiał bardzo rozsądnie don Kristoforo, trzeba koniecznie wierzyć. Otóż gdy święty Modest przebywał w Avellino, mieszkańcy sąsiedniej wioski Mercogliano zapragnęli mieć go u siebie. Przyszli w nocy i wykradli obraz. Święty uraził się o to i chcąc okazać swój gniew złoczyńcom, żadnego cudu u nich nie uczynił. Naprożno go prosili, błagali, stroili ołtarz, oświetlali à giorno, obsypywali najczulszemi nazwami, Modest był nieubłagany i głuchy jak kamień; nie uzdrowił ani jednego chorego, podczas suszy nie spuścił ani kropli deszczu. Więc pewnego dnia mieszkańcy Mergogliano, znużeni daremnemi prośbami, odesłali świętego mieszczanom w Avellino, z towarzyszeniem obelg i gwizdania, a kiedy się już zadyszeli i zatknęli, obsypali go kamieniami. I od tej pory Avellino i Mercogliano nie mogą się znosić. Podczas wojny walczą w przeciwnych obozach, podczas pokoju robią sobie wzajemnie nieprzyjemności.

Lecz próżno Toniel opowiadał tę historyą Regince, nie zważała na świętego Modesta, tylko wciąż biła czołem o stopnie ołtarza. W Mercogliano, do którego przybyli w nocy, tłumy tłoczyły się do bocznej nawy kościoła, zkąd rurą wychodzącą z kolumny spływała woda cudowna, mająca źródło w udzie jakiegoś świętego; woda ta gasiła pragnienie i leczyła wszystkie choroby. Do rury można się było dostać tylko, rozpychając tłum przemocą; Reginka omało nie została uduszona, lecz woda cudowna, której się napiła, orzeźwiła ją odrazu. Koło północy tłumy ruszyły nagórę, pieszo lub konno, a pokutnicy boso; w ich liczbie Reginka. Kaleki, starcy i chorzy wlekli się z trudnością. Każdy niósł pochodnię lub długą tykę, której koniec napuszczony żywicą płonął wesoło, a ten wąż połyskujący tysiącami światełek i wspinający się z głębi doliny po stromych ścianach góry, robił wrażenie widoku z czarodziejskiej jakiejś krainy. O świcie wszyscy upadali ze znużenia; Reginka nie mogła się utrzymać na nogach, pokaleczonych i zakrwawionych. Toniel, podtrzymujący ją o ile możności, sam już chwiał się z umęczenia. Wszystkie twarze miały trupią bladość; mnóstwo pielgrzymów, szczególniej kobiet z miasta, rzucało się na ziemię, w błoto, jęcząc i wzywając śmierci. Tłum minął już część góry, gdzie rosły drzewa, i zaczął się wdrapywać na nagie skały, prawdziwa Kalwarya, gdzie zbolałe dusze dźwigały swój krzyż z wysiłkiem. Najwytrwalsi, dochodząc do szczytu, usiłowali wydawać okrzyki radości, lecz zamiast tego wydawali tylko chrapanie i padali jak martwi na ziemię.

Opactwo Santa-Maria, stojące na skale granitowej, górującej nad lasami całej okolicy, było za czasów pogańskich świątynią Cybeli i nosiło nazwę góry Wirgiliusza. Zczasem zmieniło nazwę, lecz corocznie 20,000 do 30,000 Neapolitańczyków idzie tam na pobożną pielgrzymkę.

Doszedłszy do drzwi kościoła, Reginka uklękła, pochylając twarz ku ziemi, i rozkazała Tonielowi, ażeby uwiązał jej sznurek na szyi i zawlókł ją na tym sznurku do samego wielkiego ołtarza.

Gdy ją ciągnął, posuwała się na klęczkach i zlizywała językiem posadzkę, a przywlókłszy się do wielkiego ołtarzu, zaczęła szeptać modlitwy, bijąc się w piersi i szlochając, poczem wstała rozpromieniona. Odpokutowała winę i dostąpiła przebaczenia. Wtedy dopiero wyznała Tonielowi, za jaki to grzech tak surową karę poniosła.

— Zamało cię kochałam; powiedział mi to don Kristoforo.

Schodzili razem z góry i tak szczęśliwi! Przy drodze ujrzeli dwa krzaki jałowcu, rosnące obok siebie, nagięli ich wierzchołki i związali je ze sobą, a ręce ich stykały się przytem. Tak zwykle czynią zaręczeni, którzy ślubują sobie wierność w obliczu królowej aniołów. Gdy się pożenią, po roku lub dwóch latach, jeżeli kochają się jeszcze, wracają i rozwiązują jałowce. Na pochyłości góry pełno rosło tych krzaków i największa liczba powiązanych z sobą uschła.

*) Złotej młodzieży.

Kiedy Toniel z Reginką doszli do Mercogliano, wieś cała miała świąteczny pozór, wszystkie domy przystrojone były chorągwiami, chorągiewkami i wielkiemi płatami, na których wymalowane były wizerunki świętych. Szynkownie przepełnione były pokutnikami, którzy, spłaciwszy dawne długi pokutą, rozpoczynali nowe rachunki. Tłum wrzał wesołością i życiem, wszędzie pstre chustki, jaskrawe spódnice, szarfy i wstążki różnobarwne, pióra kogucie, pawie, bażancie, połyskujące na słońcu, girlandy z liści ozdabiające namioty, szeleszczące za powiewem wiatru, razem z płóciennemi ścianami namiotów, wydymających się jak żagle.

Za Mercogliano tłum cały rozlewał się w szalonym pędzie po stromych drogach, na których kłębiły się tumany kurzu; wózki zaprzężone w małe koniki, znikające pod obfitością piór, wstążek, galonów, mosiężnych blaszek, brzękadeł i zielonych gałęzi, pędziły cwałem, pozostawiając za sobą skały, uprawne pola, winnice i szeregi drzew rosnących po obu stronach drogi.

Narzeczeni po powrocie do Salerno zastali u pani Placydy list pod adresem Toniela, który zaniósł go do cyrulika na rogu ulicy, ażeby mu przeczytał. List zawierał tylko kilka wyrazów.

„Mistrz Pallone zawiadamia kogo należy, że jeśli Toniel wciągu trzech dni nie powróci do Neapolu, Reginka zostanie zabita.”

IV.

Miss Zawierucha odkryła schronienie zakochanych, dowiedziała się o tem od don Kristofora, którego odwiedzała coraz częściej, zajęta myślą nawrócenia go na protestantyzm. Cowieczora wychodzili oboje na taras górujący nad kościołem, z którego na jednę stronę widać było miasto, na drugą morze, don Kristoforo wyciągał się na ławce, opierając łokciem o balustradę, i palił z rozkoszą cierpkie cygaro, które mu sam wybierał i zapalał właściciel sklepiku, jego parafianin, Angielka, stojąc przed księdzem, perorowała, lub przechadzała się wielkiemi krokami po tarasie, sypiąc obelgi i szyderstwa przeciwko nieomylności papieża i dogmatowi niepokalanego poczęcia; co do tego ostatniego wygłaszała z całą niewinnością rzeczy wielce dwuznaczne. Don Kristoforo, nie rozgniewany bynajmniej, powtarzał z błogością, przechylając wtył głowę i puszczając kłęby dymu:

— Co pani chcesz? A ja wierzę...

Pewnego dnia miss Zawierucha spotkała Pallona w porcie i powiedziała mu natychmiast:

— Wiem już, gdzie oni są. Domyślasz się kto? Toniel i Reginka.

— I ja wiem i śledzę ich — odparł z całą bezczelnością kłamca.

— Schronili się do Salerno, do jakiejś pani Placydy, która ma sklepik z cygarami...

— Czy pani myśli, że to dla mnie nowina?

— Jeździli razem na odpust do opactwa Matki Bozkiej...

— Wiem o tem, posyłałem za nimi swojego człowieka.

— Mają wziąć ślub 8 Września...

— Nie wezmą ślubu.

— A któż im przeszkodzi?...

— Ja! Pallone!

— I dobrze uczynisz! Nie dlatego, ażebym miała gniewać się na Toniela, bo postąpił on względem tej dziewczyny lepiej, niżeli można się było spodziewać po chłopcu nieumiejącym czytać, lecz dlatego, że pędzi życie próżniacze, śpiewając na ulicach. Jakżeby on mógł utrzymać dom i wychować dzieci? Te biedaki nie unikną zguby, chłopcy wyjdą na złodziei, dziewczęta na... (i nazwała rzecz, nie owijając w bawełnę). Czy wiesz, mój chłopcze? Ty powinieneś ożenić się z Reginką.

— Ożenić się? Z nią? Ja, Pallone! O! nie!

— Dlaczego nie? Jesteś uczciwy, umiesz czytać, za parę miesięcy mógłbyś mówić po angielsku, gdybyś tylko zechciał. To dziewczyna rozsądna, tylko trochę bigotka, ale na wyleczenie jej z przesądów wystarczy uczęszczanie coniedziela do kaplicy anglikańskiej. Wyposażymy ją i będziesz żył obsypany dostatkami, do późnej starości, w spokoju i cnocie...

— Toniel będzie tu za trzy dni conajdalej — odparł uroczyście Pallone.

I istotnie, w trzy dni później, Toniel ze swą harfą był już w Neapolu. Na dworcu kolei biedny chłopiec ujrzał groźnego człowieka, który skinieniem rozkazał mu iść za sobą. Noc była ciemna. Poszli nad brzeg Sebeto.

— Jesteś złodziejem i zdrajcą — zaczął Pallone. — Od tylu miesięcy nie dałeś mi ani obola, wykradłeś dziewczynę bez mego pozwolenia i ukryłeś się jak złoczyńca! Gdybym cię przebił tu sztyletem i wrzucił twoje ciało do morza, byłoby to tylko wymiarem sprawiedliwej kary. Ale jestem zanadto dobry, tym razem jeszcze ci przebaczam. Lecz strzeż się! Najpierw oddaj mi wszystkie pieniądze, jakie masz przy sobie (Toniel wypróżnił natychmiast kieszenie), potem masz pozostać w Neapolu cały miesiąc, nie pokazując się w Salerno, nie dając żadnej wiadomości o sobie tej dziewczynie; trzydziestego dnia bądź tu, przy tym moście, a wydam ci nowe rozkazy. Jeżeli nie będziesz posłuszny, zginiesz!

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Z TYGODNIA

Cobyście też powiedziały, moje panie, o człowieku, który, ile razy znajdzie się w towarzystwie, zaczyna rozmowę o... pogodzie?

Proszę sobie wyobrazić, jeśli można, przedmiot banalniejszy i bardziej zużyty, a przytem kwestyą bardziej żywotną i świeżą! Ja na przykład wciąż jestem zmuszony zaczynać z wami swoję rozmowę od pogody i choć mi to zbrzydło, choć mi to dokuczyło, przyznaję że żywotniejszego przedmiotu znaleźć nie umiem, raz dlatego, że pogoda sama ustawicznie stoi na planie pierwszym, a powtóre iż ona to właśnie usuwa na plany podrzędne wszystkie inne kwestye, w innych warunkach donioślejsze.

Oto na przykład zabawa na „Przytulisko” we Frascati! Z przyczyny deszczu, błota, zimna i innych przynależytości złej *aury* zabawa zrobiła fiasko. Połowa biletów loteryjnych została w kasach, fajerwerku nie spalono, „niespodzianek” nie było — publiczność odeszła zniechęcona, damy-filontropki, zasmucone głęboko, rozjechały się ze ściśniętemi serduszkami, a ubodzy na tem w rezultatacie ostatecznym ucierpią!

Nietylko biedne „Przytulisko” znalazło się w ciężkim kłopocie z przyczyny niepogody; trzeba było także odkładać „Festival,” a ciągłe zwłoki, trapiące rozmaite stowarzyszenia, które tęsknią do majówek, do wycieczek, zabaw i niespodzianek, mają już oczekiwania zadużo. Jedne tylko wyścigi nic sobie nie robiły z deszczu i błota, ale też one przez lat pięćdziesiąt nietylko do tego przyzwyczaić się mogły!

Spostrzegam w tej chwili, że to wszystko, czego się dotychczas w swojej pogawędce dotknąłem, należy do rzędu mniejszych lub większych przyjemności życia, ale zato nie stanowi wcale poważnej jego treści. Cóż robić, tak się ułożył ten ubiegły tydzień, a może dlatego, że jest tygodniem wełny i jarmarku, najodpowiedniejszym do wszelakiego strzyżenia i golenia. Co prawda, owo strzyżenie i golenie zamieniło się obecnie w jakiś problemat nierozwiązalny, bo jeżeli na wszystkie strony pełno nożyc i brzytew wyostrzonych, a gotowych do roboty — to, niestety, niema kogo strzydz i golić! Nasi panowie wełniarze, tak skorzy ongi do pohulanki, tak nieopatrznie hojni w rozrzucaniu datków, tak weseli i zabawni przy zdarzonej okazyjce — teraz zamienili się w gromadę mruków, sknerów i dusigroszów, co, złapawszy jaki taki kapitalik za swoje wańtuchy, wymykają się z nim czemprędzej z Warszawy do domu.

— Niema co już liczyć teraz na gości świętojańskich! — zaręczał pewien kupiec, który dawniej na nich miewał piękne zarobki. — Kiedy nadchodzi jarmark, a z nim wyścigi, już się teraz na półkach sklepowych nic nie zmienia, nic na nich nie przybywa, bo to, dalibóg, niewarto! Jeszcze przed ośmiu laty zaprowidowałem suto sklep, kuchnię i piwnicę na przyjazd spodziewanych kundmanów. Jak przyjechali, tak się wynieśli, a moje świeże prowizye zostały... z grubą stratą! Od tego czasu nadejście Św. Jana nic u mnie nie zmienia... niegłupim!

— Co się z tymi panami wiejskimi porobiło, toć to pojęcie ludzkie przechodzi! — skarżył się wyperfumowany bławatnik. — Dawniej taki pan wpadł do sklepu jak bomba, z pugilaresem tęgo wypchanym w łapie, pokręcił się, wykrzyczał i na parę setek obstalunków po paru minutach zostawił. Wysyłało się potem całemi pakami jedwabie, welutiny, aksamity... tak na niewidzianego! Dzisiaj, jakby się pod ziemię zapadli, żadnego nie widać! Któregoś z kundmanów dawniejszych łapię przypadkiem i pytam: czemu to pan dobrodziej do mnie nie zagląda?... Mam prześliczny sortyment świeżuteńkich konfekcyj... aż się oczy do nich śmieją! A on na to: Nie znam się, a jak żona zapotrzebuje, to przyjedzie i wybierze sama.

— Przyjechała, wybrała?

— A jakże! Zjawiła się po paru miesiącach, przesiedziała w sklepie pół dnia, przerzuciła wszystkie półki i paki i kazała sobie zapakować dwadzieścia cztery łokcie kretonu i cztery łokcie wstążki!

— To niewiele!

— Nawydziwiała się jeszcze za wszystkie czasy, narzekając na drożyznę.

— Co to teraz za cwany naród, ci panowie ze wsi — żalił się znowu księgarz, — to niech ich kaczki zdepcą! Przyjdzie do sklepu po książkę, to się jej chwyci jak jaki biblioman, specyalista, w kąt się zaszyje, a ogląda, przerzuca kartka za kartką i potem marudzi: pustki, kierunek błędny, treść uboga, język popsuty. Strasznie mądrzy! Niby to kupują książki, ani słowa, biorą ich sporo, ale nie tak jak dawniej, co to krzyknęło się, kładąc czerwony papierek: Przyślijcie mi co najnowsze! Mia-

łem takiego kundmana, któremu regularnie na Św. Jan wysyłałem pakę książek za parę setek rubli przez lat dziewięć. Umarł biedaczysko, najadłszy się kapłona z truflami, a mnie sukcesorowie zaprosili do kupna pozostałej po nim biblioteki. W owej bibliotece znalazłem dziewięć nieotwieranych pak nowości, wysłanych przez siebie. Poczciwe szlagonisko kupował książki, ale czytać je... to już przechodziło jego siły!

Te dziewięć pak nowości odnoszą się chyba jeszcze do tych czasów, w których pod dachem wielu, bardzo wielu dworów i dworków nie można się było spotkać z kałamarzem, a jeżeli się go znalazło, to suchuteńki i pełen zaprzeszłorocznych much. Dzisiaj zmieniło się pod tym względem radykalnie: kałamarz stał się sprzętem we dworze niezbędnym, dzięki cywilizacyjnemu wpływowi Abramków z sąsiedniego miasteczka, którzy bez pióra i atramentu nie mogliby przecież wypełniać blankietów wekslowych...

„Panowie ze wsi” zbiednieli,—twierdzą jedni, — zmądrzeli! — mówią drudzy, a inni, łącząc oba poglądy krańcowe, konkludują: — bieda nauczyła ich rozumu.

Gdyby tak stało się istotnie, to bieda byłaby rzeczą bardzo dobrą i błogosławioną. Byłaby warta tyle, co dobra szkoła, z której się wychodzi w pełni sił umysłowych i z dojrzałą głową. I gdyby tylko nie hypoteka zaszargana, całe tłumy Abramków i, co na teraz gryzie aż do krwi, ów deszcz uprzykrzony, zbratany z wściekłemi podmuchami wichrów i ta zła, niegodziwa wiosna opóźniona, i owa zima bez końca, bieda byłaby naprawdę tęgą szkołą, z której się *wychodzi...*

Podobno lepiej jest teraz w polach, jak lepiej w głowach i sercach, ale zewsząd słychać, że się dobrego żniwa spodziewać nie należy.

Zła wiosna zrobiła swoje, dusząc siłę wzrostu zpoczątku, a pod koniec strząsając kwiaty.

Co nam Sierpień przyniesie, obaczymy ufajmy jednak, że cząstkę smutnych ubolewań odłożyć trzeba na karb zwykłego dzisiaj pesymizmu, który na całej kuli ziemskiej stanowi jednę potężną epidemią...

Maryusz.



Od pewnego czasu mnożą się u nas książki, poświęcone pedagogice. Jest-to objaw dodatni. Dodatnią też jest okoliczność, że w sprawie tej wychodzimy powoli z dziedziny dociekań teoretycznych, wkraczając na pole praktyki.

Bardzo uczone rozprawy ustępują miejsca pożytecznym, przystępnym wskazaniom, radom i zachętom, zaczerpniętym z doświadczenia.

Taką właśnie książką jest praca H. Wernica, zatytułowana **„Praktyczny przewodnik wychowania.”** Autor, znany dobrze i zaszczytnie zarówno z prac praktycznych, jak i teoretycznych, jako pedagog, uczynił dzieło swoje bardzo obfitym zbiorem rad, któreby troskliwe matki i wychowawczynie poznać winny, jeżeli szczytny ich zawód ma być wykonywany w całej pełni.

Książka dzieli się na trzy działy, z których pierwszy mówi (w porządku przyrodzonym) o wychowaniu fizycznem, drugi o wychowaniu moralnem, trzeci zaś, zatytułowany „Okresy wychowania,” stanowi poniekąd dopełnienie poprzednich. Dwa działy pierwsze wskazują środki i sposoby wychowawcze — ostatni uczy, pośrednio i bezpośrednio, kiedy i jak stosować je należy.

Rozdział pierwszy, odnoszący się do wychowania fizycznego, mówi o pożywieniu, pielęgnowaniu skóry, odzieży, ruchu, zabawach ruchliwych, pielęgnowaniu nerwów, hartowaniu, o szkodliwym wpływie zbyt silnych wrażeń, o pielęgnowaniu chorego dziecięcia i o główniejszych chorobach dziecięcych. Rozdział drugi traktuje o zadaniach wychowania moralnego, o wpływie otoczenia, przykładach, przyzwyczajeniach, o rozwoju swobodnym, o uporze, kłamstwie, nauce, zabawach dziecięcych, bezczynności, uczuciach, o kształceniu uczucia religijnego i serca, uczuć sympatycznych i sprawiedliwości, o wadach dziecięcych, o środkach zachęcających w wychowaniu, o środkach przymusowych, o karach i ich stopniowaniu, o wychowaniu poprawczem i kształceniu charakteru. Rozdział ostatni wskazuje, zgodnie z tytułem swoim, różne okresy wieku dziecięcego, które wymagają odmiennego trybu stosowania środków wychowawczych. Jest tutaj także mowa o „ogródku dziecięcym,” o wychowawczyni, o kształceniu umysłu, o nauczycielu domowym, ochmistrzu i ochmistrzyni. Rozdział kończy się rzeczą o wieku młodzieńczym i dziewiczym i o wyborze powołania.

Wykazaliśmy tutaj główne momenta traktowanej w książce pana Wernica materyi, poza któremi znajduje się w niej jeszcze bardzo dużo przedmiotów, z tamtemi pośrednio związanych, których przecież dla ich mnóstwa wyliczać tu niepodobna. Sprawa wychowania przedstawiona została zwięźle, niezmiernie przystępnie i jasno, a przytem obszernie i wyczerpująco. Sama forma opracowania sprawia, że materya książki, jasno skategoryzowana, przez to samo zyskała na przystępności.

Autor obfitą treść wskazał w dwóch spisach rzeczy, z których pierwszy, na czele książki, wskazuje jej porządek w dziele, drugi zaś, na końcu, alfabetycznie dopomaga do odnajdywynia szczegółowych przedmiotów. Takie spisanie materyi czyni książkę podręcznikiem, przeznaczonym do codziennego, cochwilowego prawie użytku, to jest czyni ją prawdziwie pożyteczną i praktyczną. Co się tyczy rzeczywistej wartości rad i wskazań, zawartych w pracy pana Wernica, poręcza ją długoletnie doświadczenie szanownego autora, a zaleca szereg książek z zakresu wychowania i nauczania dotąd wydanych, dla których krytyka znalazła jedynie słowa szczerego uznania.

— Wyszła świeżo zpod prasy powieść jednotomowa pod tytułem **„Na gołoledzi,”** przez Artura Lewandowskiego napisana. Z autorem tym spotykamy się poraz pierwszy i nie pomylimy się chyba, wnosząc, że powieść ta jest jego utworem pierwszym. Ślady pierwocin widnieją w niej na każdym kroku, usterki początkowania i niewyrobienia są tu widoczne wyraźnie.

Treść powieści stanowi nieprawy romans dwojga ludzi, związanych obowiązkami rodzinnemi. Przechodzi on wszystkie koleje upadku moralnego, a kończy się najmniej spodziewanem nawróceniem grzeszników! Alfred pierwszy wraca na drogę powinności—nie z dobrej woli wprawdzie, lecz widząc, że jest oszukiwanym. Ida poprawia się... niewiadomo jak i dlaczego, a wedle jej słów własnych pod wpływem pogardy łudzonego kochanka. A tak dzieje się zadosyć moralności, która gdyby tak w życiu rzeczywistem odzyskiwała swoje straty, jak się to stało w powieści pana L., nie byłoby chyba na świecie zatwardziałych grzeszników, a tembardziej zbrodniarzy.

Z treści „Na gołoledzi” nie zaleca się nowością pomysłu, z formy słabe jest i bardzo początkowe. Autor uniknął rozkładania przedmiotu na rozdziały, wybrawszy luźne kawałkowanie go na ustępy zapomocą gwiazdek. Daje to wprawdzie pewną swobodę piszącemu, ale utworowi odejmuje wiele zalet, nadewszystko zaletę organicznej całości i jedności. Nadto powieść pana L. wydaje się być opowiadaniem bezcelowem treści bardzo pospolitej, w której psychika wątłą jest, a obrazowość prawie żadną. Gdy jednakże przypomnimy sobie, że to utwór *pierwszy*, że to pierwociny pióra poczynającego, tracimy prawo do surowszych wymagań.

Język w powieści jest w wielu razach wadliwy, a wogóle, niestety, bezbarwny, tak jak i styl, szary i blady. Z usterek językowych wskazujemy tu niektóre (z początku powieści): *Leniwo* zamiast leniwie; *całkiem*, wyraz do książki przeszwarcowany z gwary pospolitej a nizkiej; to samo *takimże*, *takowy* i t. p.; zaimki *która, którego* w jednym okresie; *czem* bliżej, *tem...* zamiast *im* bliżej; znikał *wolno* niepokój; *jakoteż*, wyrażenie nieksiążkowe; *popadał* w kłopoty; „na gwiazdami posianym firmamencie” (składnia niepolska); „chwile zdarzają się u mnie;” *umię* zamiast umiem; „spocona szyba” (jak gdyby szyba mogła się pocić); „czuję potrzebę wrócenia do *naszego* trybu;” „podawszy jej ramię, wyruszyli...” Takich usterek, zdradzających gruntowną nieznajomość języka i dowodzących potrzeby sumiennych studyów nad nim, pełno jest w powieści pana L. A już z punktami, przecinkami, średnikami bieda tu ogromna i chaos straszliwy! I to także dowód nieprzygotowania. Wszakże pierwszym obowiązkiem autora jest znajomość języka, w którym pisze. Przypominamy to panu L. w nadziei, że następna jego powieść zaleci się poprawnością gramatyki i stylu, której nateraz znaleźć nam się nie udało.

— Michał Bobrzyński wydał w trzeciej edycyi swoje **„Dzieje Polski w zarysie.”** Na całe dzieło obecnie składają się dwa duże tomy, a jak widać z ostrzeżenia na kartce tytułowej i z przedmowy do tego nowego wydania, jest ono „zwiększone.” Autor objaśnia czytelników o tem zwiększeniu i przeróbkach, mówiąc: „Przerobiłem całą naszę literaturę z lat ostatnich i sprostowałem wszystko, co przez tę literaturę lepiej wyjaśnionem, uzupełnionem i sprostowanem zostało, dodając wyniki moich (*swoich—własnych* zapewne) nowych poszukiwań i studyów.”

Praca Bobrzyńskiego posiada wysoką wartość ze względu, że nie jest historyą królów lub pojedynczych warstw, ale całego narodu, i że usiłuje przedstawić w jednolitym, ciągłym wątku jego dzieje. Można się nie godzić z autorem na poglądy jego szczegółowe na dane momenta i fakta, ale trzeba mu przyznać bezstronność sądów i trzeźwe zrozumienie ogółu dziejów.

Wielka szkoda, że praca tego zakresu i tej powagi nie zaleca się językiem zupełnie czystym. Tu i owdzie znajdujemy w niej usterki, które umiejętna a staranna korekta z łatwością mogłaby usunąć. Na przykład: „mogę na *moję korzyść*” (str. 5 t. I); „*tem mniej* nie mam powodu” (zamiast tem bardziej str. 6); „spotkać się można (zamiast spotykać) coraz częściej” (str. 6); „historycy podzielili się na specyalistów... historyi średniowiecznej...” (specyalista *czego*, czy *do* czego? str. 6) i t.p.

— W niewielkiej broszurce z tytułem „Sokole loty" (dlaczego nie *Loty sokole?*) Pan Z. D. zawarł mnóstwo swoich mniej lub więcej udatnych rymów. We Wstępie wspomniał Tytanów, Parnas, Homera, Dantego, Szekspira, Bajrona... a potem odezwał się skromnie: „I ja spróbuję..." Obiecuje tedy rozwinąć skrzydła, wzbić się w chmury, chociaż się przyznaje że nie ma sił Orfeusza.

Ostatni utwór, zawarty w tej książeczce, pod tytułem „*Quousque tandem!*" zaczyna się takim czterowierszem:

„Więc moje słowa były dźwiękami
Wołającego głosu na puszczy,
Więc przemawiałem do głuchych tłuszczy,
Co swem istnieniem łan dziejów plami!"

Czy istotnie pan Z. D. sądził, że jedna broszurka z wierszami pozwoli mu zatryumfować, że jego głos nie był głosem wołającego na puszczy? A jednakże w tej książeczce niema nic więcej okrom pomysłów nienowych i zużytych, zdań wypłowiałych, komunałów, wykrzyków pustych i sztucznych, rymów często banalnych, a niekiedy zręcznych i gładkich. Gładkość jest też jedyną stroną dodatnią jego utworów.

Jeżeli pan Z. D. *zaczyna*, to czasem zaczyna nieźle; w niektórych szczegółach widać zdolność, która może zczasem wyrobi się na talent. Na teraz jednak wszystko jest jeszcze tylko „głosem na puszczy."

Rz

Z chwili bieżącej.

* **Coraz lepiej.** Prasa nasza oddawna narzeka, oburza się, lamentuje i słusznie nad rozpowszechnioną u nas apatyą, lenistwem, lekceważeniem przyjętych na siebie obowiązków, interesu ogólnego, a niejednokrotnie i swojego własnego, dzięki którym walne zgromadzenia różnych naszych Towarzystw i instytucyj, zwoływane częstokroć w sprawach bardzo ważnych, nie przychodzą prawie nigdy do skutku, zpowodu braku liczby członków, potrzebnych do prawomocności uchwał zgromadzenia. Sprawy takie, bez względu na ich doniosłość, załatwiane bywają zwykle dopiero na drugim terminie, to jest wtenczas, kiedy uchwały zebrania stają się prawomocnemi bez względu na ilość zebranych. Tym sposobem kilkudziesięciu, kilkunastu a nawet czasem kilku rozstrzyga o rzeczach obchodzących setki stowarzyszonych, którzy później umieją być, częstokroć nawet słusznie, niezadowoleni z decyzyi, ale na posiedzenie decydujące pofatygować się nie raczą.

Równie słusznemi są narzekania na... nierzetelność — tak, na nierzetelność, gdyż tego inaczej nazwać nie można, — tych, którzy zobowiązawszy się do uiszczania pewnych składek na pewne dodatnie, pożyteczne, humanitarne a w każdym razie uczciwe cele, po pewnym, częstokroć bardzo krótkim czasie, przestają płacić i złamanie dobrowolnie przyjętego zobowiązania za nic sobie mają.

Ten nader ujemny objaw etycznej wartości naszego społeczeństwa nigdzie może tak rażąco się nie zamanifestował, jak w zaleganiu składek zdeklarowanych na rzecz Towarzystwa Osad rolnych. Przy tworzeniu się tej instytucyi, której znaczenia humanitarnego nikt zaprzeczyć nie mógł, zapłonęliśmy, według swego zwyczaju, sutym ogniem — słomianym, który buchnął, błysnął i... zgasł, zostawiwszy po sobie dużo dymu, garść popiołu i w nim odrobinę niedogasłych iskier.

Liczba zaległości od członków tego stowarzyszenia, to sążnisty dowód naszego ubóstwa, więcej moralnego, niż materyalnego. Nie można było mieć dość współczucia dla kłopotów i admiracyi dla poświęcenia zarządu tego Towarzystwa, na którego głowę spadło ciężkie zadanie zaradzania potrzebom osady Studzienieckiej, obliczonym na podstawie przewrotnych deklaracyj członków, których nierzetelność niezmiernie zredukowała później preliminowane dochody.

Nie bacząc na to, że głosy naszych kolegów po piórze i wogóle ludzi dobrej woli, podnoszone w tej sprawie, okazały się istnym grochem rzuconym na ścianę, głosem wołającego na puszczy, gotowaliśmy się właśnie jeszcze raz przemówić do sumienia publicznego, dobieraliśmy najsłodszych, najczulszych, najtkliwszych, a zarazem najwymowniejszych, najsilniejszych, najgromowładniejszych wyrażeń, mających wzruszyć i zastraszyć zakamieniałych dłużników Towarzystwa, a wyrazów najwyższego uwielbienia dla zarządu jego, którego ledwie że nie chcieliśmy podać na kandydata do kanonizacyi, gdy wtem...

W tem wyczytaliśmy w dziennikach krótką ale — ale bardzo, bardzo brzydką i smutną wiadomość: „Wybór przeto zarządu Towarzystwa osad rolnych, naznaczony na wczoraj, nie przyszedł do skutku, zpowodu braku wyborców."

Bywajcie zdrowe nasze złudzenia, bywaj zdrowa kanonizacyo! Jeżeli między tymi kilkoma wyborcami, stanowiącymi czoło instytucyi, niema na tyle poczucia obowiązku, ile go potrzeba do zejścia się na półgodziny dla wybrania zpomiędzy siebie przewodniczącego, to czego można żądać i czego spodziewać się od tej masy nie-wybrańców, stanowiącej ogół członków Towarzystwa?

Wobec tego faktu zachwiewa się zupełnie dawniejszy nasz pogląd na sprawy Towarzystwa, a źródła jego utrapień i mankamentów gdzieindziej chyba szukać będziemy musieli.

Wiadomo, że przykład idzie z góry, i że ryba zaczyna cuchnąć od głowy.

Z tych powodów wstrzymaliśmy się z puszczeniem w świat owej zamierzonej strzelistej odezwy, a skłoniliśmy się raczej do napisania tych kilku słów, *ad usum... ad usum* tego, kto się do skorzystania z nich poczuje...

* **Z wyścigów.** Nie lubimy, a i wy, miłe czytelniczki i szanowni czytelnicy, nie lubicie z pewnością powtarzania się i przesady; nie prawda? W tem niezawodnie zgadzamy się zupełnie. Z tego głównie powodu wzięliśmy na tem miejscu nieco w obronę nasze Towarzystwo wyścigów konnych przeciw tym nudnym jak lukrecya Katonom moralności rodzimej, którzy raz wsiadłszy na konika potępiania wyścigów, harcują na nim do uprzykrzenia przy każdej sposobności i niesposobności.

W przeszły czwartek d. 18 bm., na polu mokotowskiem ścigano się o najwyższą w dziejach naszych wyścigów nagrodę, o nagrodę jubileuszową, w potężnej summie 6000 rs., — i nagrodę tę wziął koń... francuzki, we Francyi urodzony i wychowany i we Francyi za drogie pieniądze kupiony!...

Tego już dalibóg zrozumieć niepodobna! Jakiej logiki prawem o nagrodę jubileuszową Towarzystwa wyścigów krajowego mogą ubiegać się konie nie w kraju urodzone i wyhodowane? Czyż podobna coś wymyśleć nieracyonalniejszego i bardziej od hodowli krajowej odstręczającego?... Toż każdy woli kupić za granicą konia gotowego, niż dochowywać się go u siebie, gdyż najdroższy koń zagraniczny mniej jeszcze kosztuje pieniędzy, nie mówiąc już o trudach, aniżeli tworzenie i utrzymywanie własnej stajni i dochowywanie się z niej okazów wyborowych!

Zaprawdę, ta krajowa instytucya w tak niekrajowy sposób uświetniła swój 50-o letni jubileusz, jak gdyby uwzięła się dowieść, że nieprzyjaciele jej mają racyą zupełną!...

I jeszcze notatka: Tatalizatory, w niektóre dni wyścigów, miały do 60,000 rs. obrotu.

Sapienti sat!

* **P. Jan Kistner**, Warszawianin podobno, otrzymał drugą nagrodę na wystawie fotograficznej w Brukselli.

* **Stacya sanitarna**, a właściwie **dezinfekcyjna** ma być urządzona w Warszawie, z ramienia i kosztem zarządu miejskiego. Będzie ona posiadała aparaty dezinfekcyjne i wozy do rozwożenia po szpitalach pacyentów dotkniętych chorobami zaraźliwemi. Na założenie tej stacyi przeznaczono jednorazowo 3,000 rs., oraz 1,400 rs. rocznie na jej utrzymanie. Czy to nie zamało?... Przecież stacya taka musi mieć swego kierownika, dość liczny personel służbowy, kilka par koni do owych wozów. Jak tu na to wszystko ma wystarczyć 1,400 rs. w czasach, w których utrzymanie pary koni w Warszawie około tysiąca rubli kosztuje?... A stacya taka mogłaby prawdziwe oddać miastu usługi, mianowicie, czego broń Boże! czasu epidemii.

G Cz.

* (*gr*) **Wydział statystyczny miejski Paryża** podaje w sprawozdaniu swojem za rok 1889 ciekawe cyfry, dotyczące żywności, dostarczonej wciągu tegoż roku, na potrzeby ludności tej stolicy.

Oto Paryż, ten smok dwu i pół-milionowy spożył w roku sprawozdawczym mięsa wołowego, cielęcego i baraniego 166,866.429 kilogramów, wieprzowego 24,087,776 kilogr., końskiego 3,551,100 kilogr., razem mięsa 197,170,252 kilogramów; nadto flaków i tak zwanych „podrobów", które obliczono na 1,800,000 paczek, ważących przeciętnie po $3^1/_2$ kilogr., co uczyni 6,300,000 kilogramów, łącznie 203,478,252 kilogr. czyli po 81 kil. na jedną osobę rocznie, a 0,23 kilogr. dziennie.

Administracya miejska starannie zda się zbierać wiadomości o konsumcyi wszelkich innych produktów spożywczych, gdyż wykazy jej objaśniają jeszcze, że na zaspokojenie apetytu Paryżan dostawiono w roku 1880 tym zwierzyny i drobiu 27,639,480 kilogr., jarzyn 15,634,935 kilogr., ryb 25,802,406 kilogr., ślimaków małży (moules) 6,372,280 kilogr., masła 19,960,241 kilogr., jaj 22,781,072 kilogr., serów 5,997,954 kilogr., ostryg 9,608,246 kilogr., trufli i pasztetów 1,4324,688 kilogr., wreszcie soli 18,648,992 kilogr., razem 153,779,894 kilogr.

Ogółem spożyto pokarmów stałych 357,250,146 kilogr., do popicia czego zużyto wina 4,703,480 hektolitrów, piwa 358,122 hektolitr., oraz miodu, jabłecznika i innych napojów owocowych 181,013 hektolitrów.

* (*gr*) **W Kaliszu** powstała nowa a wielce pożyteczna instytucya, a mianowicie zakład pracy dla dzieci ubogich mieszkańców tego miasta, którym, cała inteligentna publiczność Kalisza szczerze się interesuje.

Przy lokalu taniej kuchni, zajęto dwie obszerne sale, w których dzieci od 8 do 14 lat wieku uczą się stosownych do ich usposobienia i płci robót, pracując od godziny 8 rano do 5 po południu, z dwugodzinną przerwą na odpoczynek i obiad, który otrzymują z taniej kuchni.

Chłopcy uczą się wyrobu słomianek, koszykarstwa, a w następstwie zamierzonem jest również nauczanie ich wyrobu dywaników plecionych z kraj ek i innych robót.

Dziewczęta zajęte są nauką szycia, cerowania i naprawy bielizny i odzieży, przyczem znaczenia, haftu, robót szydełkowych i zatrudnień kuchennych.

Jeżeli panie kaliskie nie ochłodną prędko, jak się to u nas zwykle zdarza w każdem przedsięwzięciu, i wytrwają dłużej w zabiegach około utrzymania i urwalenia bytu tej instytucyi, zasłużą sobie na szczere uznanie społeczeństwa, za przygotowanie biednej dziatwy do produkcyjnej pracy i uchronienia od zepsucia, do którego niechybnie wiedzie próżniactwo i brak moralnego dozoru.

☞ Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 11 Іюня 1891 г.

Redaktor i Wydawca Emil Skiwski.

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna №. 26.

O UBIORACH.

Zaledwie kilka miesięcy dzieli nas od zimy a już suknie suto nafałdowane jakie nosiłyśmy wtedy, uważane są przez elegantki za staroświecczyznę. W obecnej chwili moda wymaga aby spódnica rozszerzała się bardzo u dołu i krajana jest dla tego skośnie — na biodrach żadnej fałdy ani rozszerzenia, istny dzwonek olbrzymiej długości! Ta długość wymagana przez modę, może do rozpaczy doprowadzić kobiety praktyczne zmuszone chodzić pieszo. Pochwalamy bardzo odwagę pań podnoszących bunt przeciw niewolniczemu poddaniu się modzie jak w innych rzeczach tak i w kwestyi długich sukien, niedogodnych do chodzenia po ulicy. Istotnie, zastanówmy się tylko co za cel idąc na spacer brać suknię z trenem, podnoszącym tumany kurzu lub błocącym się na polanych wodą chodnikach, który ostatecznie trzeba unosić w ręku? Stanowczo właściwiej jest i swobodniej mieć na przechadzce suknię sięgającą tylko do ziemi. Jeżeli jednak pokusa być modnie ubraną przeważy nad rozsądkiem, potrzeba przynajmniej u dołu sukni z lewego boku przy tylnym brycie przyszyć kółko przez które przechodzi sznureczek; dla łatwego i dogodnego podniesienia sukni wystarczy sznureczek założyć na palec. Nie możemy oznaczyć na jakiej wysokości, ani jak daleko na tylnym brycie przyszyć kółeczko, gdyż to zależy od długości sukni — im jest dłuższą, tem bardziej ku tyłowi trzeba je przyszyć.

Po odrzuceniu sutych garnirunków i przybrań na sukniach zwierzchnich, przeważnie gładkich, zbytek który zawsze umie znaleźć sobie miejsce w ubraniu kobiecem, wcisnął się teraz do spódnic spodnich. Pod suknią wełnianą niby bardzo skromną nosi się spódniczka jedwabna tego samego koloru, oszyta falbaną koronkową i aksamitką wyciętą w zęby, pod fularową np. jedwabna zakończona wolantem z tiulu greckiego naszytym trzema morowemi wstążkami. Poprzednio te spódnice podszewkowe szyły się w kolorze takim samym jak zwierzchnie, dziś to niekonieczne, chodzi tylko aby całość wy-



N. 1. Ubranie podróżne z peleryną. Krój jak do ryc. 7 w N. 25.

N. 2. Płaszczyk od kurzu oszyty piórami. Patrz ryc. 15 w N. 25.

N. 3. Płaszczyk podróżny z marszczeniem. Krój N. XV patrz ryc. 16 w N. 25.

szła efektownie, nie rażąco. I tak pod suknię czarną jedwabną lub koronkową dają spódnicę z materyi mienionej z odstającemi falbankami a szeroki wolant z tiulu czarnego naszyty wstążką atłasową przyćmi kolor materyi.

Do przybrania staników, na plastrony, do ogarnirowania wykroju, modne koronki wszelkiego rodzaju: malinowe, valencienne, point d' Angleterre, stare prawdziwe koronki lub gipiury mogą być zużytkowane bardzo efektownie; najpiękniejsze suknie widzimy przybrane gipiurą irlandzką lub wenecką. Starodawne szaliki blondynowe i szerokie falbany chantilly zdobią suknie i okrycia strojne.

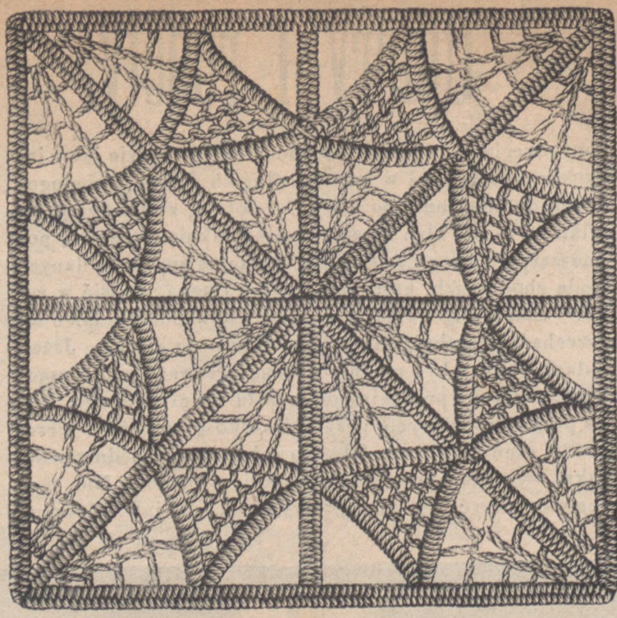
Materyały letnie mogą zadowolić najwybredniejszy gust: batysty fulary i rywalizujące z niemi lekkie wełny są prawdziwie urocze. Gładkie, w najdelikatniejszych odcieniach naśladujących naturalne barwy pięknych kwiatów, w pasy szerokie zasiane drobnemi grochami, w delikatne rzuty z kwiatów, w rozmaite desenie haftowane lub szamerowane — opisać ich niepodobna, trzeba widzieć i wybierać. Kolory modne nie uległy wybitnej zmianie; kolor heliotropowy cieszy się wielkiem powodzeniem, różne jego odcienia mają też różne nazwy: *anémone*; *glycine* i t. p., oryginalność polega na ozdabianiu go i łączeniu kolorem niebieskim, *bleu ciel*.

Co do kapeluszy, to nowość szybko rozpowszechniającą się tego lata stanowi fason bardzo mały i płaski, jakkolwiek panie nie mogą jeszcze rozstać się z wielkiemi rondami form fantastycznych. Małe foremki okrągłe z płaskiemi brzegami zdobią muślinem jedwabnym i skrzydełkami — niebieski, żółty, lub różowy kolor, przeważnie odznaczają się w przybraniu. Nigdy może nie noszono tyle skrzydełek jak w tym roku — modne są skrzydła naturalne ptasie we wszystkich kolorach, skrzydła gazowe złote i srebrne, koronkowe. Lekkie złote skrzydełka w połączeniu z kwiatami aksamitnemi, składają przybranie a raczej tworzą maleńką całość zwaną kapeluszem do teatru, koncertowym lub strojnym wizytowym. Tradycyjonalne szpilki przekłuwające kapelusz od prawego boku do lewego, z wystającym ostrym końcem o który kłuły się ręce, są zarzucone obecnie. Zastąpiły je dwie lub trzy szpilki wpięte z przodu na wzór jak noszą wieśniaczki burgundzkie.

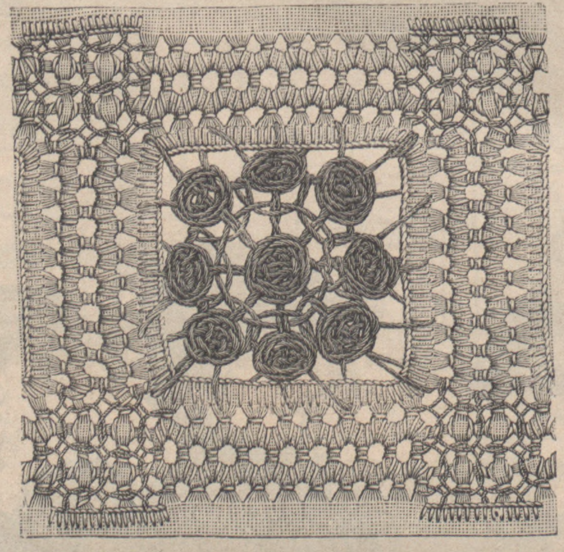
Zamieściwszy w dzisiejszem sprawozdaniu wszystko co w obecnej chwili dało się powiedzieć o ubiorach letnich, zrobiwszy parę tygodni temu wzmiankę o ślubnem ubraniu, uważamy za właściwe podać kilka szczegółów o sukniach żałobnych. Ubranie jakie przywdziewa się po stracie blizkich, drogich sercu osób, tak zwana gruba żałoba nie podlega modzie, boć osoby które nieszczęście zmusza ją nosić, usuwają się czasowo od towarzystw i unikają wszelkich zebrań publicznych. Czas trwania grubej żałoby nie może być przepisany niezmiennie, z terminem stałym — dyktuje go uczucie, usposobienie a przedewszystkiem stopień pokrewieństwa, a także zwyczaj przyjęty w kraju. Długa gładka suknia, kapotka wiązana pod brodą i welon prawie sięgający ziemi składają ten poważny ubiór. Stanik powinien być dłuższy, w rodzaju żakietki. Różnicę wybitną jaka zaszła teraz jest używanie coraz więcej krepy angielskiej, żałobne kaszmirowe suknie nieledwie całkowicie pokrywają krepą. Do okrycia służy szal zasłaniający osobę, lub dla młodych osób żakietka szeroko oszyta krepą.

Podczas lekkiej żałoby, noszonej pod koniec, lub po osobach dalszych, przyjęte są materyały lżejsze a nawet materye jedwabne i dżety. Oryginalną nowość wchodzącą w użycie we Francyi stanowią przy kapeluszach brydy z białego krepowanego muślinu; tam po trzech tygodniach grubej żałoby dodają szerokie brydy związane w sutą kokardę pod brodą.

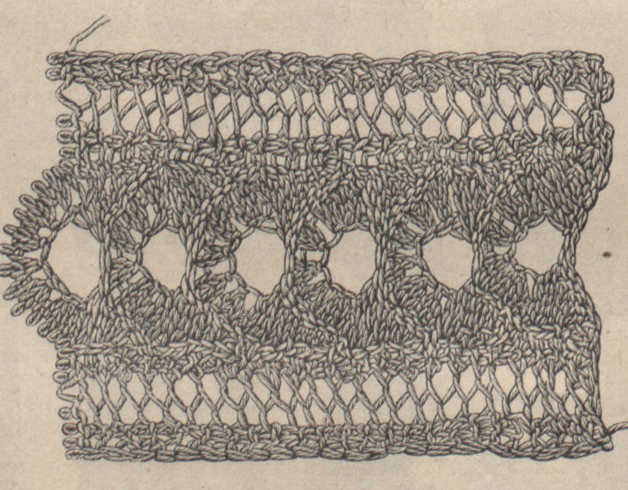
Młode panienki do grubej żałoby noszą gładką suknię z wigoniu czy kaszmiru, szeroko wokoło oszytą krepą, rękawy mogą być całe pokryte krepą i także szmizetka przy staniku. Dla chłopczyków właściwe ubranie z szewiotu, złożone z bluzy marynarskiej i długich majtek, kołnierz marynarski pokryty zwierzchu białą wełną, plastron w paski białe i czarne. Berecik czarny opasany wstążką przykrytą krepą. — Rękawiczki matowe.



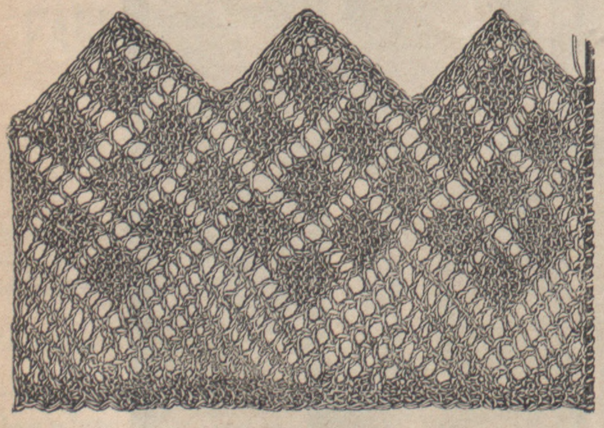
N. 4. Kwadrat robotą koronkową reticella.



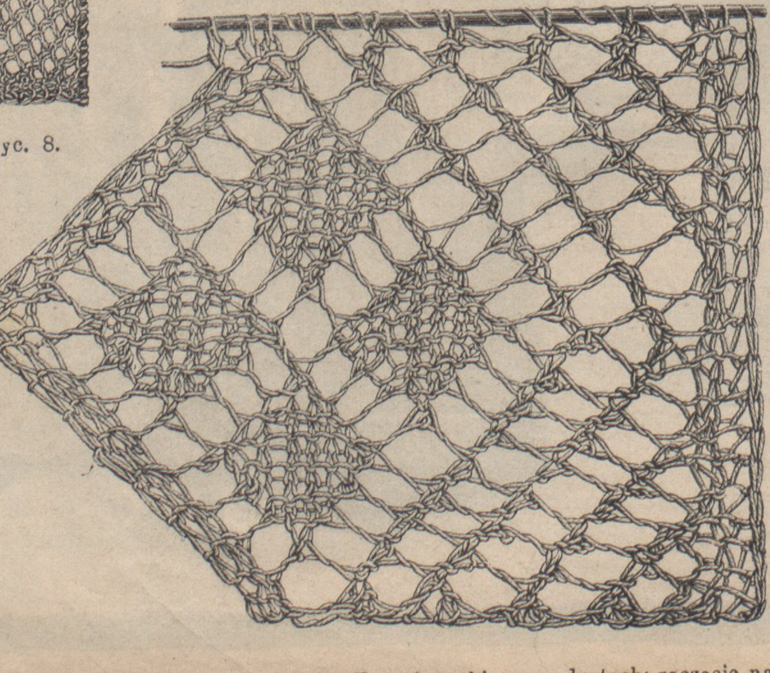
N. 5. Kwadrat z kratki ażurowej i pajączków.



N. 6. Wszywka robiona na drutach.



N. 7. Koronka robiona na drutach. Patrz ryc. 8.



N. 8. Koronka robiona na drutach; zaczęcie na 20 oczek. Wielkość naturalna.

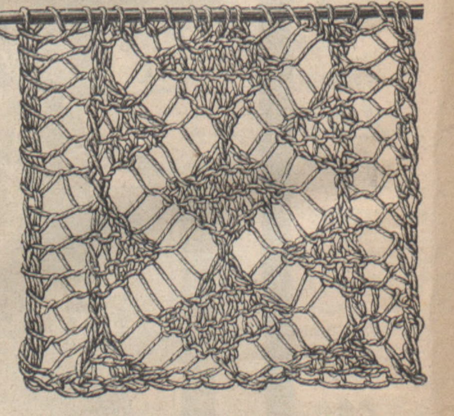
Opis do N-ru 26.

N. 1. Ubranie podróżne z peleryną. Krój peleryny patrz r. 7 w N. 25.

Bardzo praktyczne w użyciu, odrobione z popielatego beżu składa się z gładkiej spódnicy i peleryny. Wolna fałdowana bluzka z materyi w dużą kratę szkocką, ma rękawy odstające bufiasto na ramionach, zakończone u ręki gładkiemi obcisłemi sztylpami 15 c. długiemi. Plisa na spódnicy 16 c. szeroka i podszewka peleryny dane są z tej co bluzka materyi. Pelerynę dopasować podług N. XIV formy, wszyć w kołnierz wykładany związany pod szyją długim sznurem z kwastami.

N. 2 i 15 w N. 25. Płaszczyk od kurzu oszyty piórami.

Lewa połowa przodu dopasowywa się podług linii kroju na fig. 10, mierząc długość podług fig. 10a; prawą połowę kraje się dwojako, spodnią krótką również z zaszewkami oznacza linia kropkowana na fig. 10 zaś zwierzchnią długą i luźną oznacza cienka linia prosta. Na zmniejszonym formacie fig. 10a—12a widzimy rozłożone trzy części przodów. Gładka podszewka pleców fig. 13, pokryta materyałem zwierzchnim zaszytym w zakładki, podług znaczków; szerokość wystającą z boków między R a S składa się do spodu w fałdy. Zwierzchni materyał rękawów (fig. 16) ściśle przemarszczony w górze przykłada się do podszewki fig. 15 od dwukropka do krzyżyka, u dołu zmarszczony wzdłuż linii cienkiej; zakończenie rękawów stanowi gładki otwarty mankiet formą sztylpy. Zapięcie na kryte haftki; jedwabny w drobne paseczki płaszczyk oszyty był 4 c. szeroką riuszą z piór.



N. 9. Wszywka robiona na drutach.

N. 3 i 16 w N. 25. Płaszczyk podróżny z marszczeniem. Krój N. XV.

Najpierw zeszywają się ramiona i boki płaszczyka, przedstawionego w formie zmniejszonej na fig. 74. Po zszyciu rękawów c od dwukropka do dwukropka i zakończeniu gładkim mankietem *d* przyszywa je się do przodów i pleców podług gwiazdek i krzyżyków. Obrąbiony brzeg górny tworzy riuszę wokoło szyi i podszyty jest po pierwszą linię cienką przy 8, odmienną materyą u góry wysiepaną — na modelu z bastu podszycie było z piaskowej materyi surah. Między liniami 8 i 15 dane marszczenie które trzeba zastosować podług figury i od spodu podszyć skosem jedwabnym. Wzdłuż przednich brzegów dodane części żabotowe c od 1 do 58 z bastu podszytego materyą, z jednej strony zfałdowane do góry a od punktu do punktu gładko przyszyte do przodów. Na wcięciu stanu zebrane fałdy podług znaczków

zwężają przody, plecy zaś zmniejszone podług linii podwójnej. Zapięcie na kryte guziki, pasek z wstążki repsowej 6 c. szerokiej.

N. 4 — 5. Kwadraty do serwet, bielizny na pościel i t. p.

W N. 16 Tyg. Mód przy wzorach bielizny na pościel, pisaliśmy już że kratka ażurowa w połączeniu z różnego rodzaju haftem i kratką koronkową, jest bardzo modną jako przyozdobienie bielizny. Dziś na r. 4—5 dajemy dwa kwadraty, które można w różny sposób zastosować np. jako narożniki, jako szlak naprzemian z matowemi i t. p. Jeden z nich (r. 4) odrobiony robotą koronkową reticella, opisaną przez nas szczegółowo kilka lat temu. Drugi kwadrat z kratki ażurowej zapełniony w środku rozetą z pająćzków, da się z łatwością obliczyć podług ryciny 4. Jeżeli chcemy z tego ułożyć szlak ciągniony to można środki kwadratów zapełniać w każdym inaczej, stosując haft, robotę szydełkową, lub zmieniając deseń kratek. Bardzo efektownie przedstawia się kolorowe wiązanie kratki z dodaniem nitki złotej w pająćzkach i wyszyciu ściegu zwanego point d' esprit.



N. 10 Monogram. Haft atłaskowy



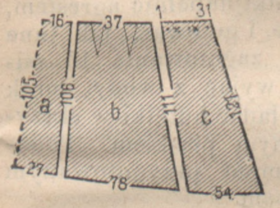
N. 11. Monogram do bielizny.

N. 10. Monogram Haft atłaskowy.

Gustownie połączone litery mogą być odrobione różnym materyałem odpowiednio do czego mają służyć. Jeżeli do znaczenia bielizny to można je odrobić dwoma kolorami lub białą bawełną; na serwecie sukiennej lub jedwabnej dobrze wyjdą wyhaftowane cienką włóczką lub jedwabiem, zaś na safianie lub aksamicie najefektowniej będzie gdy wykonamy je nitką srebrną i złotą.

N. 11. Żardinierka do ozdoby stołu.

Mały wózeczek drewniany stanowiący zabawkę dla dzieci, który kupić można w każdym składzie zabawek, r. 11 przedstawia zużytkowany jako żardinierka. Ze strony zewnętrznej boki pokryte są zieloną plisowaną materyą, zaś cały środek zapełnia się mchem wilgotnym i świeżemi kwiatami i trawami ułożonemi fantazyjnie. Wśród kwiatów wystaje kokarda z kolorowej wstążki. Chcąc zrobić podarunek można wózek napełnić cukierka-mi, przysłoniętemi bukietem.



N. 15. Wymiar brytów do ryc. 20.

N. 12—13. Poduszka do kanapy. Wyszycie rzemykami.

W przeszłym roku daliśmy wzór wyszycia rzemykiem w połączeniu z wyrzynaniem na skórze, dziś dajemy cały deseń wykonany w podobny sposób. Potrzeba najpierw wyrysować deseń na tle skórzanem, następnie starannie przebić dziurki do przewlekania rzemyka; służy do tego szydło i płaska szpiczasta igła tapicerska. Rzemyki muszą być bardzo równe i niezbyt grube, najlepiej obstalować je u rymarza, wycięte z safianu lub zwyczajnej skóry, szerokość wynosi $1/4$ do $1/3$ c. Model poduszki r. 14 miał ciemno brązowe narożniki a 38 c. w kwadrat liczący środek był z jasnej kozłowej skórki, ozdobiony czterema gałązkami zwróconemi od rogów do środka. Gałązki wyszyte brązowym rzemykiem, zaś do połączenia narożników z kwadratem służy jasny rzemyk. Kwiaty wyszyte prosto przewlekanym rzemykiem, łodyżki krzyżowanym a połączenie odznacza się skośno. Na rogach rozety z rzemyków 1 c. szerokich.



N. 13 Poduszka do kanapy. Wyszycie rzemykiem. Patrz ryc. 14

N. 15. Sukienka dla małej dziewczynki.

Krój gładkiego półwciętego stanika, łatwo dopasować podług form załączonych na arkuszach z krojami. Plecy i boczki pokryte gładko materyałem, dopełnione brytem plisowanym stanowiącym spódniczkę, zaś przód stanika i sukienki krajany w jednym ciągu i przemarszczony podług r. 15 na ramionach i w pasie. Model był z lekkiej wełny poziomkowego koloru, przybrany białą pletnią i szlaczkiem haftowanym biało 1 c. szerokim. Zamiast paska pletnia zakończona pomponami.

N. 16. Sukieneczka z kaftanikiem.

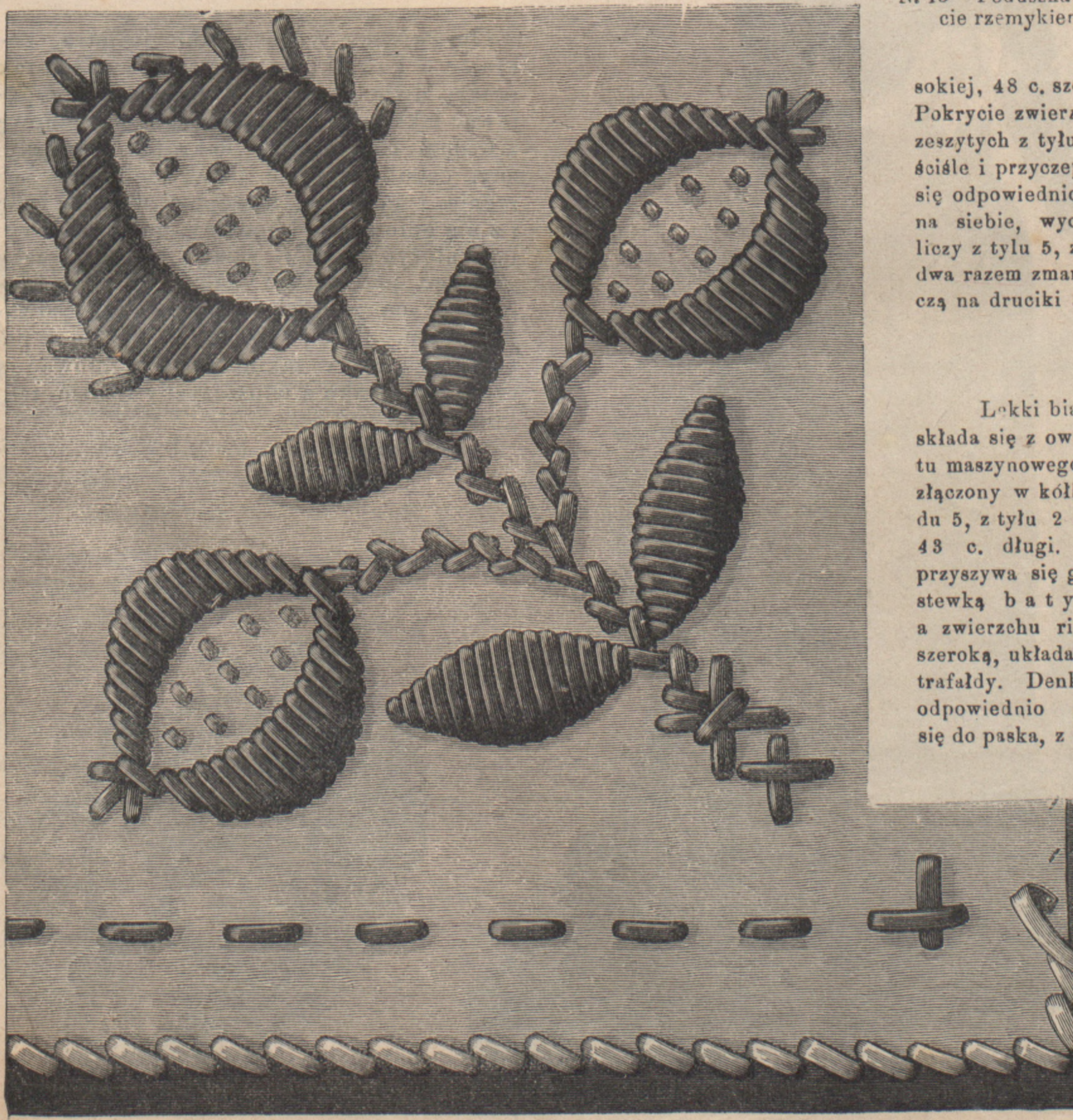
Stanik kaftanikowy zachodzący na spódniczkę, ma przody otwarte na kamizelce zmarszczonej bufiasto. Rękawy, kamizelka i kołnierz były z jasnej materyi w ciemne grochy, sukienka zaś z wełny gładkiej. Rękawki w górze przy wszyciu w pachę mają nagłówek marszczony z oddzielnego kawałka u ręki zaś zamiast mankieta przemarszczenie (smock) takie jak u kamizelki. Spódniczkę fałdowaną lub marszczoną zakończa obrąb założony do wierzchu i odznaczony jasną wypustką z materyi.

N. 17. Kapelusik ogrodowy dla dziewczynki.

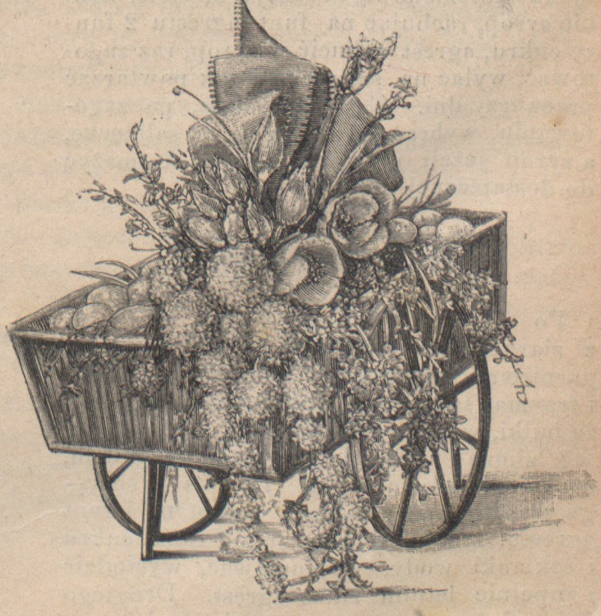
Uszyty z białego batystu w rzucik ponsowy i czarny stanowi lekkie i praktyczne przykrycie głowy w porze letniej. Podstawa główki 4 c. wysokiej, 48 c. szerokiej przygotowywa się ze sztywnego muślinu czy tiulu i z druciku. Pokrycie zwierzchnie ułożone bufiasto z kawałka batystu 80 c. długiego, w końcach zeszytych z tyłu 13 c. w środku 22 c. szerokiego, przy górnym brzegu zmarszczonego ściśle i przyczepionego na wierzchu główki pod rozetą batystową; dolny brzeg marszczy się odpowiednio do obwodu główki. Rondko wymaga dwóch kawałków, zachodzących na siebie, wyciętych z jednego brzegu w ząbki, po 157 c. długich, z których spodni liczy z tyłu 5, z przodu 13 c. szerokości, zwierzchni z tyłu 3, z przodu 9 c. Obydwa razem zmarszczone przyszywają się do główki, dalej zaś w odstępie 1 i 4 c. marszczą na druciki 32 i 71 c. długie.

N. 18. Kapelusik wiązany dla dziewczynki.

Lekki biały kapelusik letni, formą kapotkową z materyału dającego się prać, składa się z owalnego denka (36 i 40 c.) naprzemian w pasy matowe i ażurowe z haftu maszynowego. Podstawę denka stanowi pasek sztywnego tiulu oszyty drucikiem, złączony w kółko z przodu 5, z tyłu 2 c. szeroki, 43 c. długi. Na nim przyszywa się gładko listewką batystową a zwierzchu riuszą 5 c. szeroką, układaną w kontrafałdy. Denko wygięte odpowiednio przyczepia się do paska, z tyłu lekko



N. 14. Gałązka wyszyta rzemykiem. Wielkość naturalna do ryc 13.



N. 12. Wózek jako żardinierka.

nafałdowane, z przodu podpięte kokardą. Kokardy i końce do wiązania z batystu lub wstążki.

N. 19. Suknia prinçesse z wolantem koronkowym. Patrz r. 15.

Uszyta bez spódnicy podszewkowej, składa się z brytów przykrojonych podług r. 15 i przyszytych do dolnego brzegu stanika. Zaszewki zwężające szerokość górną brytów odpowiednio do figury, powinny wypadać podług szwów w staniku, przez co tworzy się jakby nieodcinana forma prinçesse. Przody stanika przymarszczone na ramionach i u dołu zachodzą prawym brzegiem na lewą połowę. Podłużny wykrój szyi otoczony szerokim wysoko stojącym kołnierzem z pasmanteryi z perełkami; zamiast szarfy przewiązana w pasie odpowiednia torsada8 c. szeroka. U dołu sukni wolant koronkowy 34 c. szeroki.

Przepisy kuchenne.

Agrest zielony.

Agrest trzeba smażyć w połowie czerwca, kiedy jeszcze jest zupełnie zielony. Bierze się gatunek zupełnie gładki, gdyż włochaty nie dobry jest do smażenia.



N. 19. Kapelusik wiązany dla dziewczynki.

Przerznąć każdą jagodę z boku wzdłuż, wybrać z niej ziarnka podwójną szpilką i nalać spirytusem, lub winnym octem. Po godzinie wyjąć agrest, ułożyć w rądlu, przekładając winnemi liśćmi i zalać gotującą się wodą i niech tak przykryty pozostanie, dopóki woda zupełnie nie ostygnie. Po tym przeciągu czasu wybrać agrest łyżką durszlakową i osuszyć na sicie. Zrobić syrop, rachując na funt agrestu 2 funty cukru, agrest wrzucić w syrop, raz zagotować, wylać na salaterkę i tak powtarzać przez trzy dni. Czwartego dnia, po zagotowaniu wybrać agrest łyżką na salaterkę, a syrop jeżeli potrzeba, jeszcze dosmażyć do dostatecznej gęstości.

Agrest zielony inaczej.

Po oczyszczeniu agrestu wewnątrz z ziarnek wrzucić go w ciepłą wodę, na garniec agrestu, wsypać ćwierć łuta ałunu i trzymać tak długo na ogniu, aż się pokażą bulki, wtedy odcedzić wodę, agrest nalać zimną wodą i trzymać 24 godzin, zmieniając często wodę. Po tym przeciągu czasu odważyć 2 funty cukru na 1 funt agrestu, zrobić gęsty syrop z 1 funta cukru i szklanki wody, wyszumować, wystudzić i zupełnie letnim zalać agrest. Drugiego dnia zlać syrop, zagotować i cieplejszym polać agrest, trzeciego dnia dołożyć do syropu pół funta cukru, zagotować i ciepłym polać; czwartego dnia resztę cukru wrzucić, gotować ażeby był gęsty, agrest wrzucić w syrop i raz jeden zagotować, nie można dłużej, bo agrest stwardnieje, potem wylać na salaterkę, a po zupełnem wystudzeniu ponalewać w słoiki.



N. 16. Sukienka dla małej dziewczynki. N. 17. Sukieneczka z kaftanikiem.



N. 20. Suknia prinçesse z wolantem koronkowym. Patrz ryc. 15.

Agrest dojrzały.

Kwartę dojrzałego agrestu nalać dobrym octem, ale niezbyt tęgim i pozostawić tak przez 9 dni, po tym czasie ocet zlać i agrest obsuszyć na sicie. Zrobić syrop z funta cukru, wyszumować, wrzucić agrest i zagotować parę razy, potem agrest wyjąć, a syrop gotować, dopóki nie będzie zupełnie gęsty. Po wystudzeniu, wlać go na ułożony w słoiki agrest i zachować.

Komput z agrestu.

Obrany z korzonków i sypułków agrest, ułożyć w kompotiery, zalać wystudzonym syropem, zawiązać pęcherzem, wstawić w rądel z zimną wodą i gotować jak wszystkie kompoty.

Agrest inaczej.

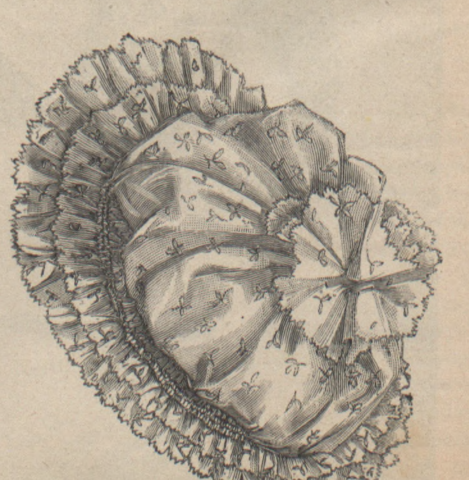
Zrobić syrop średniej gęstości z funta cukru i kwaterki wody, wyszumować należycie, wrzucić obrany z korzonków i sypułków dojrzały agrest, który poprzednio był sparzony ukropem, zdjąć zaraz z ognia, ostudzić razem z syropem, nakładać w kompotiery i gotować jak wszystkie kompoty.

Agrest bez syropu.

Mocne, grube butelki napełnić agrestem, zakorkować je dobrze, i gotować, jak inne konserwy, licząc od zagotowania 15 minut. Po ostudzeniu wyjąć z wody, korek opieczętować, i poukładać butelki w skrzynię, przesypując suchym piaskiem. Podając na stół polać kompot przygotowanym i wystudzonym syropem.

Marynata z węgorza lub jesiotra.

Oprawiwszy węgorza lub jesiotra, pokrajać w kawałki, natrzeć solą i niech tak poleży dwie godziny. Tymczasem przygotować lekkiego octu dobranego na połowę z winem francuzkiem, nakrajać włoszczyzny, cebuli, wrzucić listek bobkowy, korzenie i gotować, następnie włożyć rybę i z nią gotować pół godziny, potem ją wyjąć, ułożyć w słój, smak jeszcze trochę gotować, przestudzić i zalać nim rybę, dolewając na wierzch tęgiego, przegotowanego octu. Jeżeli ryba ma być użyta w paru dniach, to w takim razie ugotować ją tylko w smaku z włoszczyzny i zalać lekkim octem.



N. 18. Kapelusik ogrodowy dla dziewczynki.